

# **Kobiety z Podlasia – służba pod przysięgą**

Białystok, 2024

Wydawca: Caritas Archidiecezji Białostockiej

## **Egzemplarz bezpłatny**

Wersja elektroniczna jest dostępna na stronie:

<https://caritas.bialystok.pl/> Kobiety z Podlasia – służba pod przysięgą

<https://kazimierz.archibial.pl/senior.php>

**Projekt okładki:** Jerzy Barańczuk, Marian Olechnowicz

**Skład komputerowy:** Jerzy Barańczuk

**Opracowanie merytoryczne:** uczestnicy projektu: „Kobiety z Podlasia – służba pod przysięgą” realizowanego przez seniorów przy Rzymskokatolickiej Parafii św. Kazimierza Królewicza w Białymstoku

**Opieka edytorska:** Marian Olechnowicz

**Warsztaty dziennikarskie i historyczne:** Marian Olechnowicz

**Warsztaty malarskie:** Monika Sienkiewicz

**Koordynator projektu:** Elżbieta Węgierska

**Korekta:** wykonana zespołowo

**Druk i oprawa:** druk – 24h

Fotografie pochodzą z albumów rodzinnych osób, których biografie znalazły się w tej publikacji. Autorzy dziękują za ich udostępnienie

**Nakład:** 500 egzemplarzy

**Na okładce:** Fot. z archiwum Mariana Olechnowicza



ARCHIDIECEZJI  
BIAŁOSTOCKIEJ

„Kobiety z Podlasia – służba pod przysięgą”

Projekt realizowany

przez Caritas Archidiecezji Białostockiej.

**Zadanie publiczne jest finansowane  
ze środków Województwa Podlaskiego.**



Podlaskie

*W kształtowaniu postaw patriotycznych i moralnych wielką rolę zawsze spełniały, i nadal spełniają, kobiety: córki, żony, matki, babcie, sąsiadki... W I połowie XIX wieku kobiecym wzorem stała się Emilia Plater. Jej biografia historycznie wplata się w treść lektury narodowego czytania w 2024 roku. To druga polska kobieta – żołnierz zapisana na kartach naszej historii. Kobiety w różnych mundurach: żołnierki, policjantki, harcerki, lekarki, pielęgniarki, zakonnice. One wszystkie przysięgały lub ślubowały. Jest o nich w naszej kolejnej publikacji. O takich, które dobrze zachowały się w naszej pamięci, ale także nam współczesnych. Nie tylko warto, ale wręcz należy o nich napisać...*



Rys. M. Olechnowicz, 1980



## Uczestnicy projektu „KOBIECY Z PODLASIA – SŁUŻBA POD PRZYSIĘGĄ”

- |   |  |
|---|--|
| <ol style="list-style-type: none"> <li>1. BOŁTRUCZUK KRYSZYNA</li> <li>2. CHŁUS MARIA</li> <li>3. DRYGLAS CECYLIA</li> <li>4. GOŁĘBIEWSKA BARBARA</li> <li>5. GOTLIB BENEDYKTA</li> <li>6. IDŹKOWSKA ALICJA</li> <li>7. JANUSZEWSKA ANNA</li> <li>8. JAWOROWSKA WIESŁAWA</li> <li>9. JÓZEFOWICZ TADEUSZ</li> <li>10. KALINOWSKA REGINA</li> <li>11. KARPIUK WIESŁAWA</li> <li>12. KASIORKIEWICZ IRENA</li> <li>13. KŁOPOTOWSKA TERESA</li> <li>14. KODŁUBAŃSKA KRYSZYNA</li> <li>15. KORŹYŃSKA HIERONIMA</li> <li>16. LASKOWSKA IRENA</li> <li>17. LEGUN DANUTA</li> <li>18. ŁASZCZ TERESA</li> <li>19. ŁOTOWSKA HALINA</li> <li>20. MACIEJEWSKA ŁUCJA</li> <li>21. MAKAREWICZ ANNA</li> <li>22. MUĆKO ELŻBIETA</li> <li>23. MULICKA BARBARA</li> </ol> | <ol style="list-style-type: none"> <li>24. MURAWSKA KALBARCZYK ALINA</li> <li>25. OLSZEWSKA JANINA ŁUCJA</li> <li>26. PAŃKOWSKA GRAŻYNA</li> <li>27. PAWŁUSZEWICZ ALINA</li> <li>28. PODWYSOCKI SŁAWOMIR</li> <li>29. RUTKOWSKA ELIZA</li> <li>30. SADŁOWSKA CZESŁAWA</li> <li>31. SKUTNIK ZENONA</li> <li>32. SOBOLEWSKA HONORATA</li> <li>33. STANKIEWICZ MARIANNA</li> <li>34. SULIMA GRAŻYNA</li> <li>35. SZCZERBA ALEKSANDRA</li> <li>36. SZYMAŃSKA HALINA</li> <li>37. SZYMCZUK KRYSZYNA</li> <li>38. ŚMIETĄŁO BOŻENA</li> <li>39. TAŁAŁAJ BOŻENA</li> <li>40. TARNOWSKI MIROSŁAW</li> <li>41. WASILEWSKA DANIELA</li> <li>42. WORONOWICZ KRYSZYNA</li> <li>43. WUDARCZYK MARIA</li> <li>44. ZAKRZEWSKA IRENA</li> <li>45. ŻUKOWSKA WANDA</li> </ol> |
|---|--|

*W głuchej puszczy, przed chatką leśnika,  
Rota strzelców stanęła zielona;  
A u wrót stoi straż Pułkownika,  
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.  
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,  
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,  
Kiedy po nim lud prosty tak płacze  
I o zdrowie tak pyta ciekawy.*



*Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,  
Konia w każdej sławnego potrzebie;  
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,  
Kazał przywieść do izby – do siebie.  
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,  
Sвій kordelas i pas, i ładunki;  
Stary żołnierz – on chce jak Czarniecki.  
Umierając, swe żegnać rynsztunki.*

*A gdy konia już z izby wywiedli,  
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;  
I żołnierze od żalu pobledli.  
A lud modlił się klęcząc przed progiem.  
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,  
Tyle krwi swej i cudzej wylali,  
Łzy ni jednej – a teraz płakali  
I mówili z księżami pacierze.*



*Z rannym świtem dzwoniło w kaplicy;  
Już przed chatą nie było żołnierza,  
Bo już Moskal był w tej okolicy.  
Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza,  
Na pastuszym tapczanie on leży -  
W rękę krzyż, w głowach siodło i burka,  
A u boku kordelas, dwururka.*

*Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,  
Jakie piękne dziewczę ma lica?  
Jaką pierś? – Ach, to była dziewczica,  
To Litwinka, dziewczica-bohater,  
Wódz Powstańców – Emilija Plater!*

A. Mickiewicz

W dobie zaborów potrzebne nam były nieskazitelne i patriotyczne wzorce. Pokazną gromadkę mieliśmy wśród mężczyzn. Kobiet było niewiele.



Kobiecy wzorem patriotyzmu stała się Emilia Plater. Legenda pomogła nie tylko dokonać czynów, w których nie brała udziału. Przypisano jej także niezwykłą urodę. Najbardziej znany portret ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Żyje więc w naszej świadomości nie własnym, lecz legendarnym życiem. Dobrze, że nie ma takiej siły, która potrafiłaby zniszczyć lub choćby wykpić tę legendę. Dlatego Emilia Plater była i jest świętością narodową. Tym bardziej należy przypomnieć jej biografię.

Urodziła się 13 listopada 1806 roku w Wilnie w szlacheckiej rodzinie o tradycjach patriotycznych. Kilka lat później jej rodzice: Franciszek Ksawery Plater i Anna von Mohl, rozstali się. Dziewczyna wyjechała z matką do krewnych, którzy mieli majątek Liksna koło Dyneburga. Wychowywała się i kształciła wspólnie z dwoma kuzynami. Interesowała się literaturą i historią, pisała wiersze, a także jeździła konno, ćwiczyła fechtunek i polowała. Odbiła również liczne podróże po terenach obecnej Polski, Litwy i Białorusi. Zaczytywała się w poezji romantycznej. Nie była odosobniona w dziewczęcych marzeniach o wojaczce. To właśnie romantyzm budził ówczesne dziewczyny do czynu. Jednak ożenek najczęściej przynosił kres owych planów. Tymczasem nasza bohaterka nie stanęła na ślubnym kobiercu.



## *Emilia – powstaniec...*

Na wieść o wybuchu powstania nawoływała do podjęcia walki na Litwie, ale przecież była tylko kobietą. Po uzyskaniu obietnicy wsparcia ze strony podchorążych ze szkoły w Dyneburgu, gdzie kształcili się jej dwaj krewniacy, opracowała plan zdobycia miasta. Szansa powstała, gdy w marcu 1831 roku oddział Juliusza Grużewskiego pokonał Rosjan stacjonujących w miejscowości Rosienie. Stało się to sygnałem do wybuchu powstania na całej Litwie. Emilia obcięła włosy i wspólnie z przyjaciółką Marią Prószyńską, włożyła mundur wojskowy: szaraczkowy, skromny surduty, okrągłą czapkę, a przy pasie lekką szabelkę i pistolet. Warto dodać, że z trudem wytrzymywała trudy wojaczki. Była przecież dziewczyną filigranową i słabego zdrowia. Przełożeni namawiali ją na powrót do domu, ale przecież nie miała do kogo wracać. Matka zmarła tuż przed wybuchem powstania. Z ojcem nie miała kontaktu.

W drodze do Dyneburga stoczono kilka zwycięskich starć z siłami rosyjskimi. Emilia Plater także wzięła udział w potyczkach z wrogiem. Wiosną 1831 roku dołączyła do Wolnych Strzelców Wiłkomierskich. Wspólnie z Marią uczestniczyła w bojach pod Mejszagołą i Garbielowem, gdzie gen. Dezydery Chłapowski przyznał Emilii honorowy stopień kapitana. Otrzymała także dowództwo 1 kompanii 1 Pułku Piechoty Litewskiej. Jej pododdział walczył m.in. o Kowno, gdzie Emilia wykazała się niezwykłą odwagą. Zaczęła wówczas cieszyć się sympatią i szacunkiem żołnierzy.

Brała udział w obronie Kowna. Poznała wówczas Franciszka Bronisława Mickiewicza, brata naszego Wieszczu, a także znanego poetę Adama Odyńca. Ten uwiecznił ją w swoim wierszu „Smug kowieński”.

Kiedy dowodzący jej grupą gen. Dezydery Chłapowski podjął decyzję o rezygnacji z dalszej walki, nasza bohaterka zdecydowała się na dołączenie do sił powstańczych w rejonie Warszawy. Tymczasem zapadła decyzja o przekroczeniu granicy z Prusami. Oburzona Emilia Plater odmówiła wykonania rozkazu. Wraz z Marią Raszanowiczówną i bratankiem Cezarym Platerem podjęła próbę przedarcia się do Warszawy. Podążali lasami w przebraniach chłopskich. Podróż, dla coraz bardziej chorej Emilii, okazała się bardzo wyczerpująca. Dlatego zatrzymała się w dworku Abłamowiczów. Jej stan zdrowia gwałtownie się pogarszał. Wiedziała o zbliżającej się śmierci. 30 września 1831 roku napisała pożegnalny list.

Zmarła 23 grudnia 1831 roku. Jej ciało spoczęło na cmentarzu w Kopcio-  
wie. Grób zachował się. Jest na nim napisane słowo: Emilia. I nic więcej.

### *Narodziny legendy*

Nieśmiertelną sławę Emilii Plater przyniósł wiersz Adama Mickie-  
wicza, który „awansował” ją do stopnia pułkownika. Dziewczynie nie  
można było odmówić ani patriotyzmu, ani odwagi i determinacji, podob-  
nie jak wiary w słuszność sprawy o którą walczyła, aż do gotowości zło-  
żenia swojego młodego życia w ofierze na ołtarzu Ojczyzny. Na drugi  
plan usuwają się jej wątpliwe zasługi na polach bitewnych. W I połowie  
XIX wieku, niewiele lat po utracie niepodległości, potrzebne nam były  
takie właśnie wzorce patriotyczne. Nie był to czas na roztrząsanie auten-  
tyczności czynu bojowego. Takie wzorce potrzebne były także w następ-  
nych dekadach i kolejnym wieku. Może także potrzebne są obecnie...

## **Platerówki z gminy Poświętne**

*Zapewne było ich więcej z naszego Podlasia. Najpierw dotknęły je  
sowieckie aresztowania, potem zsyłka do syberyjskich łagrów lub sowiec-  
kich kołchozów. Jadwigę Piekutowską Sowietci aresztowali 21 czerwca  
1941 roku. W dniu następnym wojska niemieckie zaatakowały Związek  
Sowiecki. Adolf Hitler rozpoczął realizację Fall Barbarossa.*

Po wojnie – o platerówkach, żołnierzach 1 Samodzielnego Batalio-  
nu Kobiecego im. Emilii Plater, było cicho. Po 1989 roku popadły wręcz  
w zapomnienie. A przecież służba w wojsku utworzonym przez komu-  
nistów w żaden sposób nie była świadectwem poparcia tej zbrodniczej  
ideologii, lecz jedną z nielicznych możliwości ratowania własnego życia.  
Nie wszyscy przecież zdążyli dotrzeć do armii polskiej pod dowództwem  
gen. Władysława Andersa.

Jadwiga urodziła się 29 listopada 1925 roku. Wcześniej straciła ojca.  
Tomasz Perkowski zmarł w 1938 roku. Matka, Anna Perkowska musiała  
podołać w wychowaniu aż pięciorga dzieci. – Do naszego domu w Gro-  
chach przyszli wczesnym świtem w dniu 21 czerwca 1941 roku – wspo-  
minała w 2009 roku swoje aresztowanie – Dwóch Sowietów i sołtys.  
Zabrali mnie, moją mamę i cztery siostry: Janinę, Czesławę, Eugenię  
i Stefanię. Aresztowanych z gminy Poświętne przewieziono na stację



kolejową w łapach. Wkrótce transport wyruszył na wschód. Niemieckie samoloty nieraz atakowały bombami składy wagonów. W tym chaosie niektórzy próbowali ucieczki, lecz sowieccy strażnicy byli czujni. Pani Jadwiga pamiętała, jak postrzelili Henryka Wiśniewolskiego. Na szczęście kula nie zatrzymała się w ciele mieszkańca Poświętnego. Kobiety robiły mu prymitywne opatrunki. I przeżył. Zesłańcy trafili w okolice Omska. W 1942 roku Wanda Wasilewska wyprosiła u Stalina, aby ten uwolnił Polaków i pozwolił zaciągnąć się do wojska tworzonego przez Związek Patriotów Polskich. Punktem zbornym były Sielce nad Oką. Po uwolnieniu rodzina pani Jadwigi wyruszyła w kierunku Saratowa. Podróż pociągiem, zamiast zaplanowanych 2 tygodni, trwała ponad dwa miesiące. Głód bardzo dokuczał. Jakież było zdziwienie, gdy pewnego dnia Polki dostrzegły rzędy snopków zbóż. Okazało się, że znajdowały się one na polach uprawianych przez niemieckich osadników. Mieszkali tutaj od czasów Piotra I Wielkiego. Stalin rozkazał wszystkim osadników aresztować i wysiedlić, ale o zebraniu zbóż już nikt nie pomyślał. Ziarno z kłosów było cudownym ratunkiem przed śmiercią głodową. Jadwiga zaciągnęła się, na ochotnika, do 1 Dywizji Piechoty, chociaż nie miała jeszcze 18 lat.

– Wiedziałam, że w wojsku nakarmią i ubiorą – wspominała weteranka wojny – I szybciej dotrę do Polski. Jednak podałam imię oraz datę urodzenia swojej siostry Elżbiety. I tak mnie zapisali. Dopiero po pewnym czasie przyznałam się do małego kłamstwa.

Wcielonym kobietom obcięto włosy na krótko. – To dla higieny – objaśniała pani Jadwiga – Potem wysłano nas do łaźni. I dano nowiutkie mundury. Dziewczęta szybko poprawiły krój ubioru, aby lepiej leżał na każdej z nich. Ot, typowe kobietki – śmiała się pani Jadwiga. Nie była jedyną platerówką z okolic Poświętnego. Była więc kolejna z pobliskiego Józefina – córka Pawłowicza – leśniczego i rządcy majątku w Pietkowie, a także dziewczyna z gminy Sokoły (Leokadia Kruszewska ze wsi Perki Bujenki). Jadwiga Piekutowska zaczęła służbę w 1 Samodzielnej Kompanii Łączności. Została przydzielona do sztabu dywizji. Jednak musiała też, jak wszystkie inne platerówki, przejść przeszkolenie unitarne, a więc uczyła się strzelectwa i służby wartowniczej... Potrafiła szyfrować wiadomości oraz zakładać linie telefoniczne. – Musiałam znać wszystkie pseudonimy oficerów, kompanii, batalionów, itd. Warunki kwaterowania były różne,



jak to na froncie. Poprawiło się na terenach należących wcześniej do III Rzeszy.

Dopiero w sierpniu 1945 roku żołnierka odwiedziła Grochy, lecz nikogo z rodziny nie zastała. W listopadzie tego samego roku pani Jadwiga została zdemobilizowana. Znowu powróciła w rodzinne strony. Ze Związku Sowieckiego powrócili jej bliscy. – Jednak siostra Czesława została na zawsze w tym wielkim kraju. Nawet nie wiadomo, gdzie jest jej grób – mówiła ze smutkiem kombatantka.

Wkrótce wyszła za mąż za Stanisława Piekutowskiego, mieszkańca tej samej wsi. Małżonkowie szczęśliwie doczekali się aż ośmiorga potomstwa: dwóch córek i sześciu synów. Wszystkich dobrze je wychowali i wykształcili. Pani Jadwiga żyła ponad 90 lat i mogła cieszyć się swoimi dziesięcioma wnukami i dwoma prawnukami. Często zapraszano ją na spotkania z młodzieżą szkolną w Pietkowie i Poświętnem. Potrafiła ciekawie opowiadać. Wiedziała, że powinna spotykać się z uczniami i mówić o losach jej pokolenia. Ku pamięci i przestrodze...

### ***Żołnierka z Józefina***

Maria Andrzejewska, z domu Pawłowicz, urodziła się w 1920 roku w rodzinie leśników. Jeden z jej dziadków był powstańcem z 1863 roku, zaś drugi legionistą. W domu panował więc polski duch patriotyzmu. W latach 30. ubiegłego wieku Aleksander Pawłowicz został leśniczym w Józefinie na Podlasiu. Jego żona Elżbieta zajmowała się wychowaniem pokażnej gromadki dzieci. We październiku 1939 roku w leśniczówce zamieszkali Sowieci. I wkrótce aresztowali leśniczego Pawłowicza. 10 lutego 1940 roku okupanci aresztowali jego mamę i wszystkie

dzieci. Elżbiety Pawłowicz nie było wówczas w Józefinie. Na wieść o deportacji jej bliskich sama oddała się w ręce NKWD w nadziei, że zostanie dołączona do rodziny. Po wielu trudach i staraniach dotarła do kołchozu, w którym mieszkali jej dzieci. Zdążyła jeszcze spotkać swoją teściową, Aleksandrę Pawłowicz. Jednak ta wkrótce zmarła wycieńczona chorobą. Na Syberii zmarła Elżunia, najmłodsza z córek leśników. W 1942 roku syn Zbyszek otrzymał zezwolenie na podróż do polskiego wojska. Z trudem dotarł do punktu werbunkowego. Zdążył zarejestrować się i... zmarł.

– W połowie 1943 roku – wspominała pani Maria – do naszego kołchozowego posiołka dotarła wiadomość o tworzeniu nowego polskiego wojska i poborze kobiet w wieku od 18 do 35 lat. Z łatwością przekonałam komisję do swoich kwalifikacji zdrowotnych i... wieku.

Punkt zborny znajdował się w Irkucku. Autorka wspomnień była zdumiona taką wielką ilością zgromadzonych Polek. Marię mianowano komendantką wagonu. Musiała więc zadbać o stan osobowy, a także zaprowiantowanie. – Kilka razy polecono, abym zaprowadziła dziewczęta do... kina – wspominała kobieta – Było to przestronne, a przed wszystkim ogrzewane pomieszczenie. Żadnego z filmów nie pamiętam, ale dobrze nam było wypaść się w wygodnych fotelach i ciepłku.

Wojskowi wytypowali grupę 180 kobiet, które załadowano w transport kolejowy do Sielc nad Oką. Droga do wojska była pełna nietypowych zdarzeń. Jednak szczęście Marii dopisało. Ostatni, ponad 50 – kilometrowy odcinek drogi, kobiety przemierzyły pieszo. W obozie spotkała swoją siostrę Hannę. Komisja wojskowa przydzieliła Marię do Batalionu



Kobiecego im. Emilii Plater. Jednak najpierw trafiła na kurs podoficerski piechoty. Siostra dostała przydział do 1 Pułku Piechoty jako łączniczka. Dziewczyny otrzymały wojskowe mundury, bieliznę i buty. Przede wszystkim też otrzymały dobre posiłki, a przecież wiele z nich było wręcz wygłodzonych. Obozowisko: namioty, prycze, kuchnię, łaźnię latryny, to wszystko musiały same przygotować w ciągu jednego dnia. Rekrutki przeszły pełne szkolenie unitarne, czyli musztrę, strzelanie, kopanie tranzei... – Ręce oraz intymne części ciała – napisała w swoim pamiętniku „platerówka” – myłyśmy ciepłą kawą wyproszoną z kuchni. Potem żartowałyśmy z koleżankami, że gdyby Niemcy mieli dobry węch, to po zapachu wyczuliby, gdzie jesteśmy.

Kiedy przyszły mrozy żołnierki przeniosły się z namiotów do ziemianek – „Połowa w ziemi, połowa na powierzchni. Okienka w suficie. W dwóch brzegach stały piece. W środku dwa rzędy pryczy i stojaki na karabiny. Była okropna wilgoć. Czuło się zapach pleśni. Chyba od tej wilgoci zachorowałam – napisała w pamiętniku „platerówka. – Całe ciało było opuchnięte.”

Na szczęście powróciła do zdrowia. Jednak przełożeni zwolnili ją z niektórych ćwiczeń na poligonie. W tym czasie Maria uczyła młodsze koleżanki historii i języka ojczystego. – Jednak trwało to krótko – wspominała – Władze szybko dopatrzyły się, że uczę nie po ich linii ideologicznej. Ja zaś mówiłam tak, jak mnie nauczono w polskiej, przedwojennej szkole. Wkrótce została przydzielona do sądu wojskowego, jako protokolantka. Awansowała do stopnia podporucznika, zaś jej siostra Hanna skończyła swój szlak wojenny w stopniu starszego sierżanta. Maria została zdemobilizowana w 1948 roku. Wyszła za mąż za sowieckiego oficera polskiego pochodzenia i zamieszkała w Warszawie. Kilkakrotnie odwiedziła Józefin, gdzie spędziła swoje szczęśliwe dzieciństwo. Zmarła na początku XXI wieku...

*Źródło: Maria Andrzejewska, Aleksander Pawłowicz: Do zobaczenia w kraju, Muzeum Pamięci Sybiru, 2019*

*Fundacja Generał Elżbiety Zawadzkiej, Teczka personalna*

## Nie miała dla siebie czasu

*Ppor. c.w. dr med. Irena Biała ps. „Bronka” – (1900-1982). Dla bardzo wielu białostoczan jest tylko patronką ulicy, przy której jest poradnia chirurgiczna. Jej imię nosi Państwowy Dom Dziecka nr 2 w Białymstoku. W plebiscycie na najpopularniejszego mieszkańca Białego-stoku w XX wieku zajęła czwarte miejsce.*

Urodziła się 3 listopada 1900 roku w Carycynie (obecnie Wołgograd). Rodzicami byli: Kazimiera z Kobylińskich oraz Józef Biały, inżynier kolejnictwa. Jej dwaj dziadkowie byli lekarzami. Wychowała się, wraz czwor-

giem rodzeństwa, w rodzinie dość zamożnej. Sytuacja zmieniła się po wybuchu I wojny światowej, a następnie rosyjskiej rewolucji. Białowie doświadczyli biedy i głodu. Jednak nie zaniedbali edukacji swoich dzieci. W 1919 roku Irena zdała rosyjską maturę i podjęła studia medyczne. Biegłe władała rosyjskim, niemieckim i francuskim. W powojennej ankiecie napisała, że znała, chociaż słabo, także angielski i... szwedzki. Krótko pracowała w dziecięcej ochronce. Pokochała pracę z maluchami. Do Białegostoku rodzina Białych przybyła w 1921 roku. Rodzice Ireny szybko znaleźli się w gronie miejscowej elity.

Dziewczyna podjęła studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Interesowała ją pediatria. W 1927 roku, po zdobyciu dyplomu doktora wszech nauk lekarskich, związała swoje zawodowe życie właśnie z naszym miastem.



Najpierw została wolontariuszką w Szpitalu Miejskim św. Rocha. Ponadto, została lekarzem szkolnym w kilku szkołach powszechnych miasta oraz Liceum Handlowym. Prowadziła tam również wykłady z higieny. Była pomysłodawczynią i współorganizatorką kolonii letnich dla dzieci z ubogich rodzin, a także sprawiających trudności wychowawcze. Współpracowała z Polskim Czerwonym Krzyżem. W tej organizacji działała aktywnie prawie do końca swego życia. Z podobnym zaangażowaniem działała w białostockim Przesposobieniu Wojskowym Kobiet. Przy Monopolu Tytoniowym i Monopolu Spirytusowym zorganizowała Stację Opieki Lotnej nad Niemowlętami, którą nadzorowała i udzielała tam porad lekarskich. Najczęściej czyniła to bezpłatnie. Etatową pracę lekarza – pediatry w białostockiej Ubezpieczalni Społecznej otrzymała 1 stycznia 1939 roku. Wybuch wojny spowodował, że została zmobilizowana. Otrzymała rozkaz kierowania punktami sanitarnymi Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej na terenie naszego miasta.

Napływ rannych i chorych polskich żołnierzy oraz cywilów spowodował ciasnotę w szpitalach. Sytuacja pogorszyła się po ewakuacji Wojskowego Szpitala 303, z którym odjechała duża liczba lekarzy i pielęgniarek. Irena Białówna przybyła więc do Szpitala Miejskiego Św. Rocha, aby wspomóc chirurgów. Ofiarnie pracowała dniami i nocami. Widząc przepełnienie w szpitalu, zabrała kilku rannych żołnierzy do swego mieszkania. Jeszcze we wrześniu 1939 roku mianowano ją ordynatorem Oddziału Chorób Zakaźnych.

W latach okupacji sowieckiej kierowała Szpitalem Dziecięcym. Po zajęciu Białegostoku przez Niemców pozostała na tym stanowisku. W tym czasie należała już do Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej pod pseudonimem „Bronka”, pełniąc w Sztapie Obwodu AK Białystok – Miasto Szefowej Wojskowej Służby Kobiet (WSK). Wkrótce została przeniesiona do pracy w Sztapie Obszaru ZWZ Nr 2 Białystok, gdzie pełniła dwie funkcje: Skarbnika i Kwatermistrza. Jej mieszkanie było jednym z punktów kontaktowych Szefa Sztapu Obszaru Armii Krajowej.

12 marca 1942 roku dr Irena Białówna została aresztowana. Po pięciomiesięcznym pobycie w piwnicach Gestapo przy ulicy Sienkiewicza 15 przewieziono ją do białostockiego więzienia przy ulicy Kopernika. Tam udzielała pomocy medycznej współwięźniom. Zachorowała wówczas



na tyfus plamisty. Po wyzdrowieniu, w kwietniu 1943 roku, znalazła się w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, a następnie: Ravensbrück, Gross-Rosen i Neubrandenburg. Miała status więźniarki politycznej z numerem obozowym 43117. W Brzezińce otrzymała przydział do pełnienia funkcji lekarza biegunkowego bloku rewiowego nr 24. Dzięki jej odwadze i zaradności śmiertelność na bloku bardzo spadła. Oślawiony zbrodniarz z Auschwitz, dr Josef Mengele, zlecał polskiej lekarce obserwację dzieci operowanych eksperymentalnie i leczonych zleconymi przez zbrodniarza lekarami. Lekarka potajemnie leczyła je własnymi metodami. W styczniu 1945 roku Niemcy rozpoczęli ewakuację obozu. Irena Białówna wyruszyła w podróż z liczną gromadką małych więźniów. W końcu marca 1945 roku została przewieziona do Neubrandenburga. W kwietniu 1945 roku, dzięki interwencji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, transport chorych dzieci i kobiet, został ewakuowany do Szwecji. Już 25 września 1945 roku, drogą lotniczą, trafiła do Warszawy, a następnie pociągiem dotarła do Białegostoku. Zdążyła jeszcze spotkać się w domu rodzinnym z matką, która wkrótce zmarła. Lekarka natychmiast, jako pediatra, powróciła do pracy w Ubezpieczalni Społecznej. Pełniła także funkcję wizytatora higieny szkolnej Okręgu Szkolnego Białostockiego. W 1946 roku została dyrektorem Centralnej Wojewódzkiej Poradni Matki i Dziecka oraz Specjalistycznego Zespołu Opieki Zdrowotnej nad Matką, Dzieckiem i Młodzieżą. Funkcję tę sprawowała do roku 1973.

W latach 1952 – 1953 była ordynatorem Oddziału Dziecięcego Wojewódzkiego Szpitala im. J. Śniadeckiego w Białymstoku. Przekształciła go w Katedrę i Klinikę Chorób Dzieci białostockiej Akademii Medycznej. Zorganizowała Państwową Szkołę Położnych. Prowadziła w niej wykłady z pediatrii, łącząc z pracą w kilku instytucjach: Państwowej Szkole Pielęgniarstwa i Szkole Felczerskiej, Ośrodku Szkoleniowym Społecznej Pediatrii i Położnictwa. Kursy odbywały się w tzw. Domku Szwedzkim, który został w 1959 roku podarowany właśnie przez Szwecję jako wyraz uznania za wyjątkową postawę dr Ireny Białówny podczas jej pobytu w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Jej praca społeczna i zawodowa przyczyniła się do znacznego spadku umieralności niemowląt w Białymstoku.

Doktor Irena Białówna zaangażowała się politycznie. Wiedziała, że to najskuteczniejsza metoda wspierania służby zdrowia. W latach 1957 – 1961 sprawowała więc mandat Posła na Sejm PRL, gdzie zajmowała się problematyką medyczną opieki nad dziećmi.

Choroba przykuła lekarkę do łóżka. Opiekowała się nią siostra PCK Janina Zdrojewska oraz kuzynka Janina Krzyżanowska. Irena Białówna zmarła 7 lutego 1982 roku. Spoczywa na cmentarzu farnym w Białymstoku

*Źródła: Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku: Teczka personalna dr Ireny Białówny.*

*Oprac. Cezary Rutkowski na podst. „Lekarze białostoccy w okresach: międzywojennym i powojennym” [w:] Medyk Białostocki nr 108.*

*Źródło: Medyk Białostocki Nr 108 z kwietnia 2012, str. 22-23*

## Przyjaciółka Ireny Białówny

*Jej okazały grób znajduje się na białostockim cmentarzu farnym. Jednak w archiwum Uniwersytetu Medycznego nie zachowały się żadne dokumenty dotyczące biografii lekarki. Tymczasem doktor Anna Ellert zapisała piękną kartę, niosąc pomoc medyczną dzieciom, szczególnie w latach okupacji.*

Urodziła się w 1903 roku Białymstoku. Rodzicami byli Jan oraz Aleksandra z Sawickich. W 1915 roku rodzina wyjechała do Moskwy. Anna Ellert rozpoczęła naukę w rosyjskiej szkole. Już w 1918 roku udało się Ellertom przedostać do odrodzonej Polski. Jan Ellert zatrudnił się w warsztatach kolejowych w Starosielcach. Zarobki kolejarza zapewniały dostatek w domu. Rodzice zadbali więc o dobre wykształcenie swoich dzieci. Anna ukończyła białostockie gimnazjum żeńskie. Potem wybrała się na studia medyczne do Wilna, które ukończyła w 1932 roku. Przez cztery lata pracowała w miejscowej Klinice Chorób Dziecięcych. W 1936 roku trafiła do Dziecięcego Sanatorium Kolejowego w Łądku – Zdrój, gdzie objęła stanowisko ordynatora oraz zastępcy dyrektora placówki. Jeszcze przed wybuchem wojny powróciła do Białegostoku. Podjęła pracę jako rejonowy lekarz pediatra oraz w Miejskim Domu Dziecka. We wrześniu 1939 roku współorganizowała punkty sanitarne na terenie Białegosto-

ku. W 1941 roku, podczas okupacji sowieckiej, została ordynatorem Oddziału Dziecięcego w Szpitalu Miejskim. Po wejściu Niemców pozostała w Białymstoku. W końcu lipca 1941 roku nowi okupanci utworzyli getto, które objęło także ulicę Fabryczną. Nakazali więc przenieść Szpital Dziecięcy do dawnego Szpitala Żydowskiego znajdującego się przy ulicy Warszawskiej. Pogorszyło to warunki pracy zarówno Oddziału Dziecięcego, jak i całego szpitala, zwłaszcza, że przybyło wiele sierot polskich, rosyjskich i żydowskich. W tej sytuacji



w szpitalu powstał, dzięki staraniom dwóch lekarek: Ireny Białówny i Anny Ellert, nielegalny zakład opiekuńczy dla dzieci żłobkowych. Dzieci powyżej 3 lat umieszczono w nowo zorganizowanym zakładzie opiekuńczym przy ul. Sitarskiej 2. Prowadziły go siostry zakonne. Opieką medyczną zajęła się Anna Ellert. Przebywało w nim około stu, chorych i osieroconych, dzieci. Dla nich niemieckie władze miasta przydzielały w znikomych ilościach tylko chleb i oliwę. Apele Anny Ellert do białostoczan o pomoc spowodowały, że sieroty nie głodowały. Od września 1941 roku kurierzy polskiego Państwa Podziemnego dowozili z Warszawy pieniądze przeznaczone na pomoc rodzinom żołnierzy wojska polskiego. Doktor Ellert uzyskała zgodę władz zwierzchnich, aby część tych pieniędzy przeznaczono na pomoc sierotom.

Po tzw. wyzwoleniu z wielkim zaangażowaniem zajęła się odbudową miejscowej służby zdrowia. Została ordynatorem Oddziału Dziecięcego w Szpitalu Miejskim. Funkcję tę pełniła do 1951 roku. Przyjmowała także pacjentów w kolejarskich mundurach w tzw. lecznictwie otwartym. Dwa

lata później została ordynatorem Oddziału Dziecięcego w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Białymstoku. Oddziałem kierowała do 1965 roku. W tym też roku przeszła na zasłużoną emeryturę. Zmarła 19 lutego 1997 roku.

– Z mojego dzieciństwa zapamiętałam doktor Annę Ellert. – mówi pani Danuta z klubu seniora. – Lekarka była wówczas w wieku babcinym – wspomina kobieta – I tak ją nazywałam. Zawsze zdejmowała swój biały fartuch, gdy w gabinecie miał zjawić się mały pacjent. Przez cały dzień, podczas obowiązkowych szczepień dzieci, była ubrana po „cywilnemu”. Praktykę lekarską prowadziła też w swoim domu – tłumaczy seniorka. – Budynek był drewniany, otoczony pięknym ogrodem. W gabinecie stał zwykły drewniany stół z narzuconym sztyftowym obrusem. Czasem pojawiały się dwa piękne, syjamskie koty. Mali pacjenci, zapatrzeni w zwierzęta, chociaż przez chwilę nie myśleli o czekającym badaniu lub zastrzyku.

## Lekarka z woli Bożej

*Minęło wiele dekad od dnia, gdy wyjechała z Podlasia do Warszawy. Jednak ludzie wciąż o niej pamiętają. Ta kobieta straciła najbliższych, aby siebie oddać innym – mieszkańcom gminy Poświętne.*

Waleria Gronowska nie pochodziła z Białostocczyzny. Do wsi Gołębie koło Poświętnego w powiecie białostockim przyjechała z Warszawy. Została lekarką i położną w miejscowym Ośrodku Zdrowia. Tak kiedyś ją wspominała nauczycielka Irena Ślęzak: – Z czymkolwiek do niej się przyszło, zawsze pomogła. Nigdy nie powiedziała, że nie ma czasu, że to nie jej sprawa. Nigdy tak nie powiedziała.

Była wdową. Męża straciła w wojnie 1920 roku. Tymczasem spodziewała się dziecka. Młoda kobieta ciężko przeżyła stratę męża. W stanie skrajnej depresji trafiła do szpitala. Wkrótce straciła też dziecko. Nie chciała więc już żyć. Była młodą kobietą, a wyglądała jak staruszka. Lekarze nie dawali nadziei na jej wyzdrowienie. Tymczasem stał się cud. Z depresji, załamania, żalu po stracie najbliższych wyprowadziła ją... wiara w Boga. Postanowiła wrócić do zdrowia, aby poświęcić się służbie ludziom. – Mój Boże – zapewne szepnęła – Jeśli uratujesz mi życie, to pójdę pracować

gdziekolwiek, w każde warunki. Jej powrót do zdrowia wywołał zdumienie lekarzy.

Tuż po wyzdrowieniu ta młoda lekarka trafiła do Gołębi na Podlasiu. Stało się to za przyczyną jej kuzyna, który był urzędnikiem w Wysokiem Mazowieckiem. Znał więc te strony. Walerię Gronowską przygarnęła zamożna rodzina Gołębiowskich, odstępując jej obszerny pokój. Ośrodek Zdrowia był urządzony w Pietkowie, które należało do dóbr hrabiów Krasickich. Bardzo szybko, tę przybyłą ze stolicy lekarkę, miejscowa ludność obdarzyła wielkim zaufaniem. – Po raz pierwszy trafiłam do mieszkania



pani doktor – wspominała Irena Ślęzak – w 1935 roku. Dokładnie w dniu pogrzebu Marszałka. Waleria Gronowska posiadała w swoim mieszkaniu radio. Przed domem stał maszt antenowy. Przyszliśmy więc całą gromadą, aby słuchać przebiegu z uroczystości żałobnej. Gospodyni wszystkich z chęcią przyjęła i ugościła. I razem z nami płakała.

Lekarka z Gołębiów miała pełne ręce roboty we wrześniu 1939 roku. Otóż w okolicach wsi Dworaki Stańki była potyczka żołnierzy polskich z Niemcami. Po naszej stronie byli ranni, których miejscowa ludność wywiozła z pola walki. Był wśród nich Jan Gołębiowski z... Gołębiów. Wiedział, gdzie ranni znajdą fachową pomoc i opiekę. I taką znaleźli. Mieszkańcy wsi i pobliskiego Poświętnego, dowodzeni przez swoją lekarkę, pospieszili z pomocą. Powrócili żołnierze do zdrowia i swoich domów.

### *Lekarka i położna*

Wiadomo jak wyglądało kiedyś życie, szczególnie w małych wsiach na Podlasiu. Lekarze nie mieli nie tylko podstawowych leków, ale też i najpotrzebniejszych narzędzi. Trudna i daleka była droga pacjenta do

gabinetu lekarskiego. Jeszcze trudniejsza lekarza do chorego lub będącego w potrzebie. Do tych należały rodzące kobiety. I nimi też zajęła się pani Waleria. Podążała nieraz nawet nocą, różnymi środkami lokomocji, do domostw położonych na wsi lub koloniach. Kiedyś wyróciły się do rowu sanie, którymi wieziono ją do odebrania porodu. Miała kilka złamań i ogólne potłuczenie, ale w porę dotarła na miejsce. Pomogła dziecku przyjść na świat. Potem zajęła się młodą matką, a wreszcie pozwoliła, aby ludzie nią się zajęli. Zawsze miała przy sobie torbę lekarską z podstawowymi lekami. Tym razem jej była potrzebna. – Była przede wszystkim bardzo dobrym człowiekiem – wspominała pani Halina Wróblewska z Łap Osse. – Po wyjściu za mąż dłuższy czas nie mogłam doczekać się dziecka. Poradzono mi, abym poszła do doktor Walerii. Tak też zrobiłam. Pocieszyła mnie przede wszystkim dobrym słowem dodając, że trzeba ufać Bogu. Tak też zrobiłam. I cieszę się posiadaniem gromadki dzieci.

Warto dodać, że lekarka wcześniej pomogła przyjść na ten świat mężowi Haliny Wróblewskiej oraz dziewięciorgu jego rodzeństwa. – Nie znałam nigdy takiej wspianałej lekarki – wspominała pani Halina – Ta kobieta nie tylko miała wielką wiedzę, ale też i szósty zmysł w leczeniu różnych chorób. Kiedyś mój brat miał paskudny wypadek. Koń uderzył kopytem w głowę. Rana była groźna, a szpital daleko. Pierwszej pomocy udzieliła doktor Waleria. Szybko też zorganizowała transport do szpitala. Miała w sobie jeszcze jedną, tak nietypową cechę: skromność. Cieszyła się z tego, co miała, a jeszcze bardziej cieszyła się z radości innych ludzi. Nie liczyła na pieniądze, ani jakieś inne bogactwo. Nigdy nie żądała określonej zapłaty, chociaż przecież miała prywatną praktykę. Pacjenci płacili według własnego uznania, a przede wszystkich własnych możliwości. I nigdy nie powiedziała, że za mało. Nie każdy miał pieniądze, więc czasem wystarczała osetka masła, bochen świeżego chleba, albo gomółka żółtego sera. Było czasem tak, że to ona potrafiła obdarować ubogiego pacjenta jakąś wędliną. – Kiedyś, w nietypowy sposób, lekarka pomogła biednej, wielodzietnej rodzinie. – wspominała Irena Ślęzak – Otóż przygarnęła jedną z córek. Nastoletnia dziewczynka zamieszkała u pani Walerii, pomagając w domowych porządkach i lekarskim gabinecie. Jednak najbardziej przydatna była w opiece nad Hanią i Zosią – dwiema małymi kuzynkami lekarki, które trafiły do Gołębiów z Warszawy. Miała



więc dziewczyna mnóstwo zajęć, ale lekarka tak wygospodarowała swój czas i dziewczyny, aby ta mogła uczęszczać do szkoły. I nieraz pomagała w odrabianiu prac domowych.

W 1958 roku Waleria Gronowska odeszła na emeryturę i wyjechała do Warszawy. Ze wzruszeniem mieszkańcy gminy Poświętne żegnali swoją lekarkę. Ta zaś mogła stąd wyjechać całkiem spokojnie, gdyż na miejscu zostawiła wyszkoloną przez siebie położną Krystynę Kamińską. Wiedzę i umiejętności nabyła ona nie tylko w szkole, ale przede wszystkim przy Walerii Gronowskiej. Na pożegnanie podarowała młodej położnej torby: lekarską i porodową. – Praktycznie w każdej wsi w naszej gminie, w każdym domu – tłumaczyła Krystyna Kamińska – Waleria Gronowska pomogła komuś przyjść na świat. Tak dobre wspomnienie o mojej poprzedniczce była dla mnie nie lada wyzwaniem – dodała położna z Poświętne.

*Na podstawie materiałów archiwalnych zebranych przez Martę Jaworską z Pietkowa oraz wspomnień mieszkańców.*

## Pani Anna z walizeczką

*Najpierw były babki położne, potem akuszerki, te dopiero przeistoczyły się w położne. Wszystkie tak przysięgały: „Pośpieszę na każde wezwanie do położnicy i udzielę jej pomocy z całą stanowczością i ludzkością, tak jak mnie uczono. W tem niech mi dopomoże Pan Bóg i niewinna męka Syna Jego Jedynego.”*

– Na pogrzeb – mówi pani Janina z supraskiego klubu seniora – przybyło ponad tysiąc jej „wnucząt”. Przyjechali z różnych zakątków Pol-



ski. Też jestem jej „wnuczką”. – dodaje kobieta. – Nie było dnia ani nocy, kiedy ta wspaniała kobieta, nieraz pieszo przez las, po kilka kilometrów szła, aby pomóc dziecku przyjść na świat. Zawsze ze swoim nieodłącznym kuferkiem. Anna Żynel od kilku lat jest patronką miejscowego żłobka. W Muzeum Miejskim są po niej liczne pamiątki, które ofiarowała Anna Techmańska wraz z córką Małgorzatą, wnuczka i prawnuczka położnej. Jest tam także notatnik, w którym zapisała wszystkie przyjęte porody...

– Ja także jestem „wnuczką” położnej Żynel – mówi pani Zofia. – I wszyscy z mojego rodzeństwa. Sześcioro nas było, w tym raz zdarzyły się bliźnięta.

– W dzieciństwie mocno zachorowałam – mówi supraska seniorka Janina – Maleństwem wówczas byłam. Pamiętam, jak położna, robiąc mi zastrzyk, bardzo współczuła, że musi kłuć moją małą dupeczkę.

Seniorki z rozbawieniem mówią, że w Supraślu trwa spór o pierwsze dziecko, któremu Anna Żynel pomogła przyjść na świat. O ten prymat spierają się dwie miejscowe rodziny: Dobrowolscy oraz Ambrożejowie...

Kiedy szła ze swoją służbą walizeczką, to mówiono, że niesie komuś nowego Supraślanina. Pomogła przyjść na świat 2647 dzieciom!

– Lubiłam przyjeżdżać do babci do Supraśla. – mówi Anna Techmańska, wnuczka położnej. – Z Białegostoku to całkiem niedaleko, więc byliśmy u moich dziadków w soboty, niedziele, ferie szkolne i każde święta. Lubiłam klimat drewnianego, starego domku moich dziadków. Babcia nieraz piekła pyszne drożdżówki posypane kruszonką lub makiem. Czasem kruszonka była na przemian z tym makiem. Bywało tak, że w połowie roboty ktoś pukał do drzwi, a babcia szybko wycierała ręce o fartuch, ubierała się, brała swoją walizeczkę i ruszała do domu rodzącej kobiety. No i drożdżówkę wypiekał mój dziadek. – śmieje się pani Anna.

Po chwili milczenia nasza rozmówczyni dodaje – Moja babcia była nieraz bardzo surowa wobec mężczyzn, którzy okazywali niezadowolenie, gdy zamiast oczekiwanego syna na świat przyszła córka. – Leć natychmiast do sklepu po dobrą czekoladę i kwiaty – mówiła. – I podziękuj żonie, że urodziła śliczną i zdrową dziewczynkę. Taka to właśnie była moja babcia.

Anna Milewska urodziła się w 1891 roku w Kobylinie Pieniążki na Podlasiu. Zdolną dziewczyną zaopiekował się wujek – farmaceuta. Dzięki

niemu zdobyła w 1908 roku dyplom pielęgniarki i otrzymała skierowanie do szpitala położniczego w Białymstoku. Była młodą i chętną do pracy dziewczyną. Przełożeni docenili jej pracowitość i zdolności. Skierowano więc ją do szkoły położnych w Warszawie, którą ukończyła w 1919 roku i złożyła ślubowanie. W 1921 roku Anna poślubiła Władysława Żynela z Supraśla. Pracował on w fabryce włókienniczej Cytrona, ale należał także do miejscowej ochotniczej straży pożarnej. Każdy go znał w miasteczku, gdyż słynął z sumiastych wąsów. W domu zaś często zamieniał się w kucharza i sprzątacza, gdyż żona miała nienormowany czas pracy. Małżeństwo doczekało się dwojga córek: Zofii i Aliny. Zofia, po mężu Rutkowska, wspominała, że któregoś razu wróciła do domu z ojcem i siostrą z rezurekcji wielkanocnych, a mamy wciąż nie było w domu. Ta zaś przyjmowała właśnie poród. Śniadanie świąteczne musiało więc poczekać do południa. Kiedyś wezwano Annę Żynel do... lasu. Tam, w szafasie, przy migającej świeczce, pomogła przyjść na świat dziecku Cyganki. – Z takich nadzwyczajnych zdarzeń można byłoby złożyć księgę – śmieje się wnuczka.

Złe i tragiczne zmiany zaszły w czasie wojny. Owszem, Sowieci urządzili w Supraślu państwową porodówkę. Jednak rodzące kobiety wolały, aby zajmowała się nimi pani Anna Żynel. O intencjach okupantów ze wschodu bardziej zaświadczyły wywózki, które dotknęły wielu mieszkańców Supraśla, w tym rodzinę Mareckich, sąsiadów Żynelów z ulicy Dolnej. Porucznik rezerwy Ferdynand Marecki, kierownik miejscowej szkoły, zginął w Katyniu. Po jego żonę Katarzynę, także nauczycielkę oraz pozostałych członków rodziny, przyszli enkawudziści w dniu 13 kwietnia 1940 roku. Krystyna z Mareckich Dobrowolska, w swych wspomnieniach zawarła gorące podziękowania państwu Żynelom za okazaną pomoc tamtego tragicznego dnia. Pani Anna zaopiekowała się nimi także po powrocie sąsiadów z Kazachstanu.

Z kolei Niemcy przysporzyli cierpień córce położnej. W 1943 roku musiała wyjechać do Prus Wschodnich na przymusowe roboty. Tymczasem Anna Żynel wytrwale udzielała rad kobietom ciężarnym i odbierała porody w domach położnic. Nieraz tak czyniła w swoim domu, ale też w wielu, wręcz nietypowych miejscach. Wyręczała też miejscowych urzędników, gdyż jej zapiski były niezbędne do wystawiania metryk uro-

dzenia. Niekiedy musiała zastępować również duchownych, by udzielić chrztu z wody, gdy zaistniała groźba zgonu noworodka. Często pomagała biednym i wymęczonym porodem matkom. Nakazywała też ojcom, aby wypełniali swe obowiązki wobec żon i dzieci. Pani Anna nieraz sama nadawała imiona noworodkom lub niemowlakom. – Nie będzie żadnej Reginy – tłumaczyła. – Musi być Anna. Nie odejdę dopóki się nie zgodzicie. Dlatego w miejscowej szkole w klasach było nieraz dużo Anien...

13 stycznia 1966 roku Anna Żynel przyjęła ostatni poród. Miała wówczas za sobą 47 lat pracy. Zmarła 15 kwietnia tego samego roku, w wieku 75 lat. Jej pogrzeb był manifestacją wdzięczności mieszkańców Supraśla i gminy. Większość z nich mogła z dumą powiedzieć: Ja też jestem od naszej pani Żynel. To ona powitała ich jako pierwsza na tym świecie. Zrobiła wszystko co mogła, by był to ich pogodny, zdrowy początek życia. Po prostu kochała ludzi.

– Anna Żynel jest od kilku lat patronką naszego żłobka – mówi dyrektor Patrycja Jarocka– Utko – To zasługa jej rodziny, ale też i zgodna akceptacja lokalnego środowiska i naszych pracowników. Młode pokolenie nie pamięta tej położnej, która pracowała w całkiem innych czasach od tych obecnych. Jednak średnie, a przede wszystkim starsze pokolenie, doskonale ją pamięta i często wspomina. To dobry patron dla naszego żłobka – dodaje pani dyrektor.

#### *Wspomina pani Pelagia*

– Pani Żynel była cudowną, kochaną kobietą na cały Supraśl i wszystkie okoliczne wioski – mówi z werwą Pelagia Mancewicz. – Nie było od niej cudowniejszej – dodaje. Wylicza przymioty położnej: – Męża mojego przyjęła na ten świat. I czwórkę naszych dzieci. Była bardzo pomocna ludziom. Kiedyś zajrzała do nas, aby dowiedzieć się, co ze mną po ostatnim porodzie. I ani się obejrzałam, jak wszystkie pieluchy uprała i na sznurkach rozwiesiła. Przy trzeciej ciąży były komplikacje. Lekarz już chciał wezwać karetkę, aby zawieźć mnie do Białegostoku. A pani Żynel tylko machnęła ręką.– Jakoś z Pelagią sami poradzimy – skwitowała. – I syn, bez żadnych komplikacji, urodził się całkiem zdrowy. Kobietom wciąż tłumaczyła, że w ciąży i przy porodzie wszystko ma być naturalne. I każdą przyuczała do macierzyństwa. A to jak piersi masować i piersią karmić, a to noworodka wykąpać... Tuż po porodzie namawiała kobiety, aby starały

się szybko odzyskać siły. – Nie pieść się, wstawaj, masz tyle roboty przy dziecku – strofowała. Nieraz zaglądała tuż po porodzie do jakiejś kobiety ze stoikiem pożywnej zupy. Nigdy nie żądała zapłaty. Kiedy Ania, córka położnej, była mała, to czasem wozila im świeże mleko. Pani Anny najczęściej nie było w domu. W kuchni rządził jej mąż Władysław. Umiał dzieci ogarnąć i w kuchni coś przyrzędzić. Jego żona nie tylko porody odbierała. Umiała też robić zastrzyki. Mieszkaliśmy na kolonii. Do lekarza więc było daleko. Nauczyła mnie robienia zastrzyków. Pokazała jak należy je przechowywać i wyparzać. Zostawiła pudełko z igłami różnej wielkości i szklane ampułki. Umiała też leczyć schorzenia – ziołami i różnymi własnymi miksturami. Zawsze skutecznie – dodaje mieszkanka Supraśla. Po chwili milczenia snuje dalej swoją opowieść. – Jak miałam urodzić moje najmłodsze dziecko, to do ostatniej chwili pracowałam w polu przy sadzeniu kapusty. Kiedy poczułam, że nadszedł czas, wówczas powiedziałam mężowi, aby zadzwonił do położnej, bo do Supraśla to ja nie dojadę. No i przywiózł położną, kiedy było już prawie po wszystkim. A pani Anna miała na jednej nodze kapcia, zaś na drugiej pantofelka. Tak do mnie się śpieszyła. Po chwili usłyszałam płacz mojego dziecka, które położna trzymała w rękach. Chyba je pani w swojej walizeczce przywiozła – powiedziałam z radością. – To była najcudowniejsza kobieta na cały Supraśl i wszystkie okoliczne wioski – mówi z pasją pani Pelagia.

[suprasl.pl/index.php/wiecej-urząd-miejski/3045-zlobek-samorządowy-im-anny-zynel-w-supraslu](https://suprasl.pl/index.php/wiecej-urząd-miejski/3045-zlobek-samorządowy-im-anny-zynel-w-supraslu)

<https://www.suprasl.pl/index.php/wiecej-urząd-miejski/3045-zlobek-samorządowy-im-anny-zynel-w-supraslu>

*Żłobek Samorządowy im. Anny Żynel w Supraślu [Film, Zdjęcia] – należy otworzyć przez hiperlink*

## **Położna na wysokich obcasach**

*Krystyna Kamińska miała dobre przygotowanie do pracy w służbie zdrowia. Nie tylko ukończyła dobrą szkołę w Białymstoku, ale też nabywała umiejętności pod czujnym okiem lekarki i położnej Walerii Gronowskiej. Ta zaś, na pożegnanie, podarowała swojej następczyni dwie torby: lekarską i położnej.*



Z prawej – Krystyna Kamińska

Do Pietkowa w gminie Poświętne wybraliśmy się w 4 – osobowym składzie. Pogoda dopisała, więc najlepszym miejscem do rozmowy z Alicją Kamińską – synową bohaterki biogramu oraz Katarzyną Kamińską, wnuczką położnej, była altana ogrodowa.

Krystyna Kamińska, z domu Kowalewska, całe swoje życie spędziła w rodzinnym Pietkowie. Miała zaledwie 2 lata, gdy wybuchła wojna, która ciężko doświadczyła jej rodzinę. -We wrześniu 1939 roku – mówi jej wnuczka. – Nasi żołnierze stoczyli z Niemcami ciężki bój koło niedalekiego Olszewa. Wróg poniósł duże straty w zabitych i rannych. Tymczasem Luftwaffe dokonało bombardowania Pietkowa. Wielu mieszkańców schroniło się w dworskim magazynie zbożowym. Hitlerowcy otoczyli budynek i wszystkich ludzi aresztowali. Dziadek miał wówczas zaledwie 38 lat, kiedy go zamordowali koło Olszewa. Babcia została z czwórką małych dzieci. Ciężko było samotnej kobiecie przetrwać wojnę i okupację. Mogła jednak liczyć na pomoc swojej mamy, a mojej prababci – tłumaczy Katarzyna.



Po wojnie Krystyna zaczęła uczyć się w miejscowej szkole powszechnej. Do szkoły średniej uczęszczała w Wysokiem Mazowieckiem. Była pilną uczennicą. Uzupełniła swoją edukację w Państwowej Szkole Położnych w Białymstoku, którą ukończyła w 1956 roku. Jej kadra pedagogiczna w dużej mierze rekrutowała się z grona pracowników naukowych miejscowej Akademii Medycznej. Poziom nauczania był więc naprawdę wysoki. Krystyna powróciła do rodzinnego Pietkowa i przez dwa lata terminowała pod fachowym i czujnym okiem doktor Walerii Gronowskiej. Przez kolejnych kilkadziesiąt lat była położną. Najpierw pracowała w szpitalu w Łapach. Jednak nieraz pukali do jej domu mieszkańcy Pietkowa lub wsi okolicznych z prośbą o pomoc przy porodach. Szpital w Łapach nie był przecież tak blisko, a drogi, szczególnie zimą, były prawie nieprzejezdne. Odbierała więc położną porody w mieszkaniach, nieraz przy zapalonych świecach lub lampach naftowych. – I przez tyle lat pracy – mówi pani Alicja – tylko dwa razy trafiło się, że musiała odebrać martwy płód. W połowie lat 70. ubiegłego wieku położna zatrudniła się w Ośrodku Zdrowia w Poświętnem. I tam pracowała do czasu odejścia na emeryturę. – Z mężem Zdzisławem, dobrym i wziętym murarzem, żyła zgodnie, chociaż temperamenty mieli naprawdę różne – śmieje się pani Alicja.

Małżonkowie mieli dwoje dzieci: Waldemara, który poszedł w ślady ojca i również pracował na budowach. Niestety, już nie żyje. Młodszy Leszek został w domu rodzinnym w Pietkowie. Pracuje w szkole w Poświętnem.

### *Kobieta nowoczesna*

– Moja teściowa – mówi synowa Alicja – była niekonwencjonalną kobietą. Lubiła ubierać się bardzo szykownie. A przede wszystkim uwielbiała kolor czerwony. Miała więc w takim kolorze żakiet oraz buty – szpilki. Paznokcie też czerwieniły się z daleka. Uzupełnieniem był sznur peret na szyi i szykowne klipsy. Też czerwone. – dodaje synowa.

– W każdą niedzielę tak ubrana babcia – Katarzyna uzupełnia opowieść mamy – Szła do kościoła środkiem wiejskiej drogi. Do babcinych szpilek chodnik nie nadawał się – śmieje się wnuczka. – Pamiętam, jak wbijała mi do głowy swoje życiowe poglądy. – Kobieta musi mieć zawsze własne pieniądze – doradzała.

Położna nie lubiła gotowania i pieczenia. Po prostu nie cierpiała kobiecych robótek kuchennych. Jednak w domu rodzinnym zachowała się glińska foremka, w której czasem pani Krystyna piekła drożdżówki. – Jest bardzo przydatna. Ciasto się nie przypieka, ale też łatwo je można wyjąć – objaśnia wnuczka Katarzyna, specjalistka w wyrobach kulinarnych. Z westchnieniem wspomina też babcine pączki, do których ta dodawała nieco spirytusu. Chociaż położna nie cierpiała gotowania, to jednak codziennie na obiad musiała być pożywna zupa. Gotowała ją osobiście, wiedząc, że mąż ciężko pracuje na różnych budowach. – Ale za uszykowanie drugiego dania ja odpowiadałam – dodaje synowa. – Taki to był podział kobiecych ról we wspólnym domu. – We wczesnym dzieciństwie – mówi wnuczka Katarzyna – spałam w pokoju babci, gdyż mój braciszek był strasznym wrzaskunem i nie dawał nam zasnąć. Babcia nieraz mnie zabierała na spacerów na pobliski cmentarz – snuje wspomnienia wnuczka – Znała wszystkich w Pietkowie, ale też i okolicznych wsiach. A każdy pogrzeb był małym wydarzeniem towarzyskim – śmieje się wnuczka. – Nie tylko dla mojej babci. Codziennie też odmawiała różaniec, modląc się za dusze zmarłych z naszej rodziny i wszystkich, których znała. I wypominki też za wszystkich znajomych zamawiała...

Krystyna Kamińska umiała czerpać radość z życia, chociaż nie było ono ustane różami – Babcia uwielbiała taniec, zaś dziadek wręcz odwrotnie – tłumaczy wnuczka. – Ubierała się wówczas, jak Cyganka, bardzo kolorowo. Babcia była naprawdę bardzo pogodną osobą.

Nie miała łatwego dzieciństwa. Przecież wcześniej straciła ojca. Rodzina mieszkała wówczas w dworskich czworakach. Nieraz doskwierał głód. – Może dlatego moja teściowa – tłumaczy pani Alicja – Lubiała mieć żywnościowe zapasy. – I często dopytywała: Co będziemy mieli jutro do jedzenia? Pytanie to nieraz powtarzała w ciągu dnia. Podczas posiłków, a jedliśmy wspólnie przy stole, zawsze pilnowała, aby wszystko było zjedzone. My nigdy nie doświadczyliśmy głodu – mówi wnuczka – A babcia dobrze pamiętała, co on znaczy.

Krystyna Kamińska zmarła 21 maja 2018 roku w wieku 81 lat. Chorowała przez długi czas, ale do końca swoich dni miała dobrą opiekę ze strony swoich najbliższych. – Jednak przyszedł taki dzień – wspomina Alicja Kamińska – że musieliśmy wezwać karetkę pogotowia. Moja teściowa

wa była już bardzo słaba, ale w pełni przytomna. „Już tutaj nie wrócę” – powiedziała. – Zdążyliśmy ją jeszcze pożegnać w szpitalu. Nadal była świadoma i przytomna. Pogodna do ostatniej chwili swojego życia. Taką właśnie zawsze była.

– Zachowały się ciekawe pamiątki po mojej babci: ciśnieniomierz rtęciowy, słuchawki, czerwone buty, eleganckie rękawiczki, lis na szyję, korale i różaniec... – Nie wyrzucimy ich na śmietnik – mówi wnuczka.

## Dwie niezwykle harcerki z Łap

*Co je łączyło? Były nauczycielkami w szkołach powszechnych w Łapach. Złożyły także przyrzeczenie harcerskie oraz zobowiązanie instruktorskie ZHP. Ich mężowie byli nauczycielami. Dobrze też wychowały swoje dzieci. Henryk Tkaczuk został znanym w Europie profesorem ortopedii. Maria, córka Sabiny Grundl uczyła geografii w szkole podstawowej w Łapach. Wszyscy ją w tym mieście dobrze znali i szanowali.*

Bronisława Tkaczuk urodziła się w 1905 roku w Bochni. Do Łap trafiła, wraz z mężem Stefanem, na początku lat 20. ubiegłego wieku. Tymczasem już w 1920 roku zaczęły się tutaj tworzyć drużyny męskie i żeńskie ZHP, które od początku były należycie uformowane. Społeczność łapska miała szczęście posiadać nauczycielki, które były jednocześnie harcmistrzyniami, świetnie wyszkolonymi instruktorkami. Bronisława Tkaczuk kształciła się w bazie ZHP w Bochni należącej do Chorągwi Krakowskiej. W 1927 roku ukończyła Seminarium Nauczycielskie. I na stałe związała się z Łapami. W tej miejscowości pracowała przez 40 lat. Uczyła języka polskiego oraz śpiewu. Założyła szkolną bibliotekę oraz chór. Aktywnie działała w harcerstwie, będąc Komendantką Hufca ZHP w Łapach. W czasie wojny prowadziła, wraz z mężem Stefanem, tajne nauczanie. Oboje należeli do Armii Krajowej, pracując w komórce wywiadu. Wielokrotnie uczestniczyła w niebezpiecznych misjach kurierskich. W uznaniu zasług została awansowana do stopnia podporucznika cw. Po wojnie podjęła pracę w utworzonym w Łapach gimnazjum. Nadal uczyła języka polskiego i śpiewu. Po raz drugi organizowała bibliotekę oraz drużyny harcerskie. Została mianowana Komendantką Żeńskiej Chorągwi Białostockiej ZHP. W 1965 roku przeszła na emeryturę i zamieszkała niedaleko Warszawy.



Jej syn Henryk został wybitnym lekarzem ortopedą, wysoce cenionym szczególnie w Szwecji. Bronisława Tkaczuk zmarła w 2001 roku i została pochowana na stołecznych Powązkach.

Po rozpoczęciu działań wojennych w 1939 roku dziewczęta w harcerskich mundurach pełniły służbę w drużynie sanitarnej ulokowanej na dworcu PKP w Łapach. Na ich czele stanęły drużny: Tkaczukowa i Grindlowa. Dowodziły tzw. pogotowiem harcerek. Pod ich komendą dziewczęta z Łap zajęły się z wielką ofiarnością ratowaniem życia ciężko rannych żołnierzy z pułków grodzieńskich po niemieckim bombardowaniu pociągu z wojskiem, stojącym w dniu 6 września na miejscowej stacji kolejowej.

Sabina Grindl, z domu Rogólska, pochodziła z ziemi lwowskiej. W 1918 roku brała udział w bohaterskiej obronie Lwowa. Harcerstwa uczyła się na kursach prowadzonych przez Olgę Małkowską. Do Łap przybyła wraz ze swoim mężem – kapitanem rezerwy Edwardem Grindlem. Oboje zostali zatrudnieni w miejscowej szkole powszechnej. Przez wiele lat była jej kierowniczką. Wojnę i okupację spędziła w stepach Kazachsta-

nu, gdzie została deportowana z kilkuletnią córką Marią. Jej męża Sowieci zamordowali. Na zesłaniu nadal pozostała harcerką. O urokach harcerskich ognisk przekonały się wszystkie dzieci z wielu deportowanych rodzin, w dodatku różnych narodowości. Dzieci z ochotą zbierały gałęzie i susz na sobotnie ogniska. Polubiły polskie, harcerskie piosenki i obyczaje. Wiele wysiłku włożyła w organizowanie opieki nad dziećmi polskimi w Kazachstanie. To ona również starała się, śląc do sowieckich urzędów pisma, o powrót Polaków do Ojczyzny. W 1945 roku miejscowe dzieci z płaczem biegły za odjeżdżającym ostatnim samochodem wywożącym z kazachskiej wioski druhnę Grindlową i jej córkę Marię. Po powrocie do Łap natychmiast podjęła starania o odbudowę oświaty. Została pierwszym kierownikiem miejscowej szkoły powszechnej. Nadal pozostała harcerką.

Te dwie nauczycielki nadal spotykały się z młodzieżą nie tylko w salach lekcyjnych, ale też na harcerskich biwakach, wieczornicach lub przy ognisku. Wygłaszane przez nie gawędy były lekcją prawdziwej historii i służby Ojczyźnie. Druhny instruktorki z bólem przyjęły likwidację przez ówczesne władze tradycyjnego ZHP. Jednak odważnie nadal krzewiły wśród młodzieży harcerskie wartości.

– Obie druhnny uczyły i dobrze wychowały nas w Gimnazjum i Liceum w Łapach – wspominała po latach Danuta Skibko. – Bronisława Tkaczuk była polonistką. Starła się o zachowanie narodowego ducha poprzez wskazywanie nam wartościowych utworów w literaturze polskiej. Była bardzo oddaną młodzieży, zaangażowaną organizacyjnie w sprawy harcerstwa, często kosztem własnej rodziny i zdrowia. Nieraz była zmęczona. Przecież wyjazdy na obozy szkoleniowe, kursy instruktorskie, biwaki i spotkania przy ogniskach wymagały wielkiego poświęcenia. Z perspektywy czasu, to właśnie młodzieńcze przeżycia związane z harcerstwem są najpiękniejsze. Nie da się zapomnieć tej naszej młodości w harcerskich mundurach, gdy na tle nocnej, ciemnej ściany lasu, w świetle jaskrawego i ciepłego ogniska, śpiewaliśmy: Wszystko, co nasze Polsce oddamy, Płonie ognisko i szumią knieje lub Komendantka jest w śród nas. Nasze komendantki śpiewały razem z nami. Te dwie nauczycielki – harcerki pozostaną w pamięci mojego pokolenia do końca naszych dni.

## Sprawiedliwa wśród Narodów Świata z Łap

*Spośród wielu europejskich narodów Polacy otrzymali najwięcej medali nadanych przez Instytut Jad Vaschem w Izraelu. W tym licznym gronie znalazła się mieszkanka Łap.*

Takie wyróżnienie otrzymała w 1966 roku Maria Berta Kuzin. Urodziła się w 1914 roku. W 1939 roku została oddziałową w powstającym właśnie łapskim szpitalu. W okresie wojny i okupacji leczyła i ukrywała zarówno uciekających, ukrywających się Żydów, jak i partyzantów. Czyniła to wspólnie z księdzem Henrykiem Bagińskim, który podczas okupacji był proboszczem parafii pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła w Łapach. Wystawiał on fałszywe metryki urodzenia ratowanym żydowskim dzieciom. Maria także ryzykowała życiem, pomagając ludności żydowskiej. W tym czasie w szpitalu w Łapach pracował Julian Charin, lekarz żydowskiego pochodzenia. Nie tylko aryjski wygląd, ale przede wszystkim duże lekarskie umiejętności pozwoliły mu zachować wolność. Niemcom potrzebni byli doświadczeni lekarze. Tymczasem Maria zakochała się w przystojnym chirurgu. W dodatku z wzajemnością. Może to właśnie stało się powodem, że Charin porzucił religię swoich przodków i przyjął katolicyzm. Gdy Niemcy zaczęli zamykać Żydów w gettach, Maria nakłoniła Juliana, aby ten zgodził się wyjechać do bezpiecznej kryjówki we wsi Zalesie. Trafiło tam także rodzeństwo lekarza – siostra i brat. Wszyscy ukrywali się we wsiach gminy Wyszki. Jednak wkrótce Niemcy wykryli kryjówkę lekarza. Aresztowali go i zamordowali 19 marca 1943 roku. Przed śmiercią zdążył przekazać swoją ostatnią wolę, aby go pochowano obok grobu księdza Zalewskiego, proboszcza w Topczewie, który go ochrzcił. W 1946 roku Maria spełniła prośbę ukochanego. Wojny nie przeżył brat lekarza. Tylko siostra, która na chrzcie przyjęła imię Jadwiga, doczekała wyzwolenia. Dziewczynką zaopiekowała się właśnie Maria Kuzin. Tymczasem pielęgniarka z Łap, po śmierci narzeczonego, z tym większą odwagą zaczęła pomagać leśnym z Armii Krajowej. Została zaprzysiężona jako sanitariuszka. W 1944 roku, dzięki jej odwadze i pomysłowości, został ze szpitala w Łapach wywieziony ranny partyzant. Po wojnie udzielała medycznej pomocy żołnierzom WiN z oddziału kpt. Kazimierza Kamieńskiego ps. Huzar. Została aresztowana przez UB i na prawie 4 lata trafi-





ła do celi więziennej we Frondonie. Nie złamało to jej ducha i odwagi. To właśnie Maria Kuzin nieraz w swoim domu w Łapach gościła księdza Michała Sopockę. Aż do swej emerytury pracowała w służbie zdrowia w Łapach. Zmarła w 2000 roku. Jej grób znajduje się na cmentarzu miejskim w Łapach.

#### *Wspomnienie o Marii...*

– Maria Kuzin mieszkała w dużym drewnianym domu, który znajduje się przy ulicy ks. H. Bagińskiego w Łapach – mówi pani Krystyna. – Moi rodzice wynajmowali w nim mieszkanie. Tutaj też urodziłam się w 1961 roku. Pani Maria powitała mnie na tym świecie. Kiedy w dzieciństwie chorowałam, wówczas stawiała mi bańki albo robiła zastrzyki. W mieszkaniu obok mieszkał pan Michał Niewęglowski, jej ojczym. To był bardzo doświadczony felczer. Pani Maria nieraz mówiła, że wiele od niego się nauczyła. Jednak pan Michał miał całkiem odwrotną opinię, twierdząc, że właśnie przy Marii zdobywał wiedzę medyczną. Żył bardzo długo, a pasierbica opiekowała się nim bardzo ofiarnie – mówi kobieta. – Pasją pani Marii był ogród, o który sama dbała. Było w nim mnóstwo przeróżnych kwiatów, a w centrum stała drewniana altana. Lubiła w niej, w wolnych chwilach, przesiadywać. W rogu ogrodu stała mała pszczela pasieka. Pielęgniarka znała się na pszczelarstwie. Pani Maria wynajęła kiedyś mieszkanie biednej kobiecie z Doktorc, która zamieszkała ze swoją małą córeczką. Wiem, że miała ona jakieś kłopoty rodzinne. Zajęła się wychowaniem dziewczynki. Pani Maria zawsze służyła ludziom pomocą.

Taka właśnie była. Nie wyszła za mąż i nie założyła rodziny. W każde wakacje do Łap przyjeżdżał jej brat Jerzy lub siostra. Nie pamiętam, jak miała na imię. Oboje pomagali w bieżących remontach domu. Dopiero od nich dowiedzieliśmy się o wojennej, tragicznej miłości pani Marii. Wtedy zrozumiałam, w jakim celu wybierała się czasem na cmentarz w Topczewie. Z tego domu wyprowadziliśmy się w 1976 roku. Potem, przez wiele lat, nieraz spotykałem panią Marią. Zawsze starannie ubraną, zawsze bardzo grzeczną. Taka właśnie ona była...

## W habitach...

*Zgromadzenie Sióstr Misjonarek Świętej Rodziny jest pierwszym polskim żeńskim zakonem ekumenicznym. Jego założycielka, Błogosławiona Bolesława Lament, zmarła 29 stycznia 1946 roku w domu zakonnym przy ulicy Stołecznej w Białymstoku.*

Jeszcze przed wybuchem wojny Bolesława Lament przybyła do Białegostoku, gdzie jej siostra Maria była przełożoną domu zakonnego. Założycielka zgromadzenia zainspirowała w naszym mieście akademie religijne, intronizacje Serca Jezusowego... Dzięki jej inicjatywie utworzone zostały dwa przedszkola, szkoła krawiecka, internat dla chłopców oraz stołówka dla ubogiej inteligencji. Tuż przed wybuchem wojny zakonnice utworzyły gimnazjum ogólnokształcące. W 1941 roku Bolesława Lament doświadczyła prawostronnego paraliżu. Jeszcze przez rok, w tych trudnych czasach, zarządzała zgromadzeniem w Białymstoku. Kolejnych pięć lat swego życia spędziła w łóżku, zdana na pomoc innych. 29 stycznia 1946 roku wzięła jeszcze udział w porannej Mszy Świętej, ofiarując ją w intencji szczęśliwej śmierci. Na śmierć patrzyła, jako na wypełnione miłością spotkanie z Bogiem.

5 czerwca 1991 roku, Ojciec Święty Jan Paweł II, dokonał aktu beatyfikacji bł. Bolesławy Lament.



### *Siostra Teresa*

Umówiliśmy się z nią na godzinę 13, zapominając o tym, że przecież to pora obiadowa. Jednak nie czekaliśmy zbyt długo. Zakonnica zjawiła się, wspierając się na tzw. balkoniku. – To mój Mercedes – powiedziała na wstępie. Wiemy, ile ona ma lat, ale aż trudno w ten wiek uwierzyć. Tryska humorem i energią. I pamięć ma świetną. – Mam na imię Teresa – mówi – z chrztu i zakonu. Gdybym miała jeszcze raz wybrać swoją życiową drogę, znowu zostałabym zakonnica. Właśnie w tym, a nie innym zgromadzeniu – dodaje z uśmiechem.

Pochodzi z Biebrzy. Nie miała łatwego dzieciństwa, ani też młodości, bo takie wówczas były czasy. – W 1944 roku moja rodzina została aresztowana przez Niemców – mówi siostra Teresa. – Najpierw osadzono nas w areszcie w Grajewie. Potem transportem kolejowym odesłano do obozu koncentracyjnego niedaleko Królewca. Na szczęście przeżyliśmy tę gehennę i powróciliśmy do rodzinnego domu. Powróciła też moja siostra, którą zesłano na roboty w III Rzeszy.

Do nowicjatu w Suchowoli wstąpiła w 1950 roku. Tam właśnie był wówczas jeden z domów zakonnych Zgromadzenie Sióstr Misjonek Świętej Rodziny. Wcześniej do Suchowoli trafiła cioteczna siostra Marta



– Dogmata. – Ja zaś za nią – tłumaczy zakonnica. – Musiał jednak być jakiś głos z nieba zachęcający do powołania.

Przyznaje, że pewien wpływ na jej decyzję miała też atmosfera panująca w ówczesnej szkole. – Z obozu trafiłam do... obozu – mówi. – Indoktrynacja komunistyczna, szydzenie z religii i naszych narodowych wartości, przymus należenia do ZMP. Miałam tego dość – tłumaczy. – Któregoś dnia wróciłam do domu i powiedziałam moim rodzicom, że dłużej nie wytrzymam.

Matka nie musiała dopytywać.

Od razu wiedziała, że córka pójdzie w ślady swojej siostry ciotecznej. – Może w tym też jest zasługa św. Stanisława Kostki – zastanawia się zakonnica – Codziennie odmawiałam modlitwę do tego świętego. Tak mu nadokuczałam, że zajął się moją przyszłością. Nadal modłę się do niego. Za Suchowolą wciąż tęsknię. Miałymy tam całkiem pokaźne gospodarstwo rolne. Pracy było moc, ale jakoś radziłyśmy. Może kiedyś kobiety były silniejsze, bardziej chętne do pracy fizycznej? – zastanawia się siostra Teresa.

Kiedy zachorowała na gruźlicę, wysłano ją ponownie do Suchowoli. – Lekarstwa, świeże mleko, prosto od naszych krów i dobry suchowolski klimat, przywróciły mi zdrowie – mówi z uśmiechem. Po wyzdrowieniu została skierowana do Kłodzina, gdzie jej zgromadzenie prowadziło szkołę oraz internat dla trudnej młodzieży męskiej. – Zostałam intendentką i... buchalterką – tłumaczy zakonnica. – Zajęłam się więc zaopatrzeniem i księgowością, Moja przełożona była bardzo zadowolona z wykonanej przeze mnie pracy. I tak już w mojej zakonnej posłudze zostało na wiele kolejnych lat. Lubiłam tę pracę, gdyż z cyferkami już w szkole całkiem dobrze radziłam – objaśnia siostra Teresa.

Po trzech latach została przeniesiona do Kętrzyna. Tam ją zatrudniono w przedszkolu prowadzonym przez zakon. – I znowu dostałam etat intendentki – mówi siostra Teresa. – Jednak nasi ówczasie rządzący „dobrodzieje” upaństwowili przedszkole.

Powróciła więc do Kłodzina, aby znowu porządnie zbilansować dochody i wydatki. – Do Białegostoku trafiłam w 1970 roku – snuje wspomnienia. – Przypisano mnie do archiwum kurialnego. 23 lata tam spędziłam. Od bardzo wielu lat mieszkam przy ulicy Stołecznej, przy naszej Błogosławionej założycielce zgromadzenia. Wraz z wiekiem przybywa mi chorób. Pomocą musi służyć ten „mercedes”, a i łyżkę do zupy siostry znalazły głębszą, abym nie rozlewała. Co mogłabym przekazać młodym kobietom? Niełatwe zadanie. W obecnych czasach jest wiele inności – inny duch, inne podejście do życia, stosunek dzieci do rodziców, ale i rodziców do dzieci...Nie potrafię wymyślić jakiegoś porządnego przesłanie. Każde będzie zbyt górnołotne. A nie chcę nikomu niczego narzucać. Jednak wybierając drogę życiową, w jej wielu obszarach, naprawdę warto dobrze ją przemyśleć. Mamy przecież tylko jedno życie dane nam od Boga – dodaje nieco sentymentalnie zakonnica.

### *Ofiarna zakonnica*

Niewiele o niej wiemy, chociaż zasługuje na porządną notkę biograficzną. Onufra Aleksandra Puchłowska była córką Onufrego i Aleksandry Puchłowskich. Ich drewniany, prawie 100. letni, dom rodzinny stał przy ulicy Stołecznej 5 w Białymstoku. Po śmierci rodziców Aleksandra ofiarowała ojcowiznę Zgromadzeniu Sióstr Misjonek Świętej Rodziny. I została w tym zgromadzeniu zakonnica. Jeden z budynków został erygowany w 1936 roku przez arcybiskupa Romual-





da Jałbrzykowskiego, zaś w roku następnym urządzono w nim kaplicę. W drugim budynku zamieszkała Bolesława Lament.

Siostra Onufra zmarła w 1964 roku. Jej grób znajduje się na cmentarzu farnym w Białymstoku.

## Waleria Waszkiewicz

*Była rodowitą białostoczką, nauczycielką, harcerką, kobietą niezwykle pracowitą i uczynną. Pracy z młodzieżą poświęciła swoje zawodowe życie.*

Odnaleźliśmy jej ucznia. Jest nim ks. Wojciech Łazewski, proboszcz naszej parafii na Dziesięcinach. – Pani Waszkiewicz była nauczycielką w szkole podstawowej w Supraślu – wspomina kapłan. – Uczyła mnie, i moich współtowarzyszy „niedoli” z mojej klasy, matematyki. Trzeba przyznać, że robiła to bardzo skutecznie. Dlatego też, gdy potem trafiłem do prestiżowego LO III w Białymstoku, w klasie pierwszej z matematyki miałem piątkę, w klasie drugiej – wylicza, śmiejąc się – miałem na koniec nauki czwórkę, w trzeciej trójkę... I na tym uczeń pani Walerii zakończył wyliczankę. – Jej skuteczność nauczania – snuje już z powagą nasz rozmówca – miała kilka przyczyn. Otóż ta nauczycielka corocznie organizowała olimpiady matematyczne. Rywalizowały dwie klasy równoległe. To był naprawdę dobry sposób na poduczenie się, ale przede wszystkim polubienie tego niełatwego przedmiotu. Moja klasa „b” koniecznie chciała wypaść w tej rywalizacji lepiej. No i ja także – dodaje ksiądz. – Był też drugi powód skuteczności jej nauczania. Otóż była nauczycielką nie tylko wymagającą, ale też dość surową. Można było jej się bać, ale tym bardziej należało przykładać się do nauki matematyki. Tę jej surowość i wymagania wspominam, po tak wielu latach, wyłącznie z sentymentem i wdzięcznością. Dzięki niej umiem i rozumiem matematykę.

Waleria Waszkiewicz urodziła się 15 czerwca 1907 roku w Białymstoku. Nic nie wiemy o jej dzieciństwie i rodzinie. Wiadomo jednak, że właśnie w Białymstoku ukończyła Seminarium Nauczycielskie. Już wówczas należała do rodzącego się polskiego skautingu. Stała na czele seminarijnej drużyny starszych dziewcząt. Po studiach trafiła do miejscowości Osowiec Twierdza, gdzie podjęła pracę w miejscowej szkole. Natychmiast





założyła drużynę zuchów. W latach 30. tych ubiegłego wieku przeniósła się do Wasilkowa. Ukończyła też kurs instruktorski w Centralnej Szkole ZHP w Buczu. Z pasją oddała się służbie harcerskiej. Wyróżniała się wielką pomysłowością i zaradnością. Miała cenną umiejętność kierowania zespołami ludzkimi. W 1936 roku została mianowana Komendantką II Białostockiego Hufca Harcerek. Władze oświatowe zdecydowały wówczas, aby przyznać jej jeden dzień w tygodniu wolny od zajęć nauczycielskich, aby mogła poświęcić się pracy na rzecz ZHP. Kierowanie Hufcem nie było łatwo. Drużyny i zastępy, które podlegały drużynie Walerii działały w 13 miejscowościach znajdujących się na terenie powiatu białostockiego. Jej pasją były sporty wodne. Dlatego wszystkie obozy harcerskie, biwaki lub szkolenia Komendantka urządziła nad rzekami lub jeziorami. Zdobyła patent sternika żeglugi śródlądowej i została mianowana instruktorem szkolenia wodnego w Chorągwi Białostockiej ZHP. Nie tylko sporty wodne były jej pasją. Kochała także góry. Świetnie jeździła na nartach. Zorganizowała więc kilka obozów zimowych w polskich Tatrach.

Tuż przed wybuchem wojny utworzyła pogotowie harcerskie. Zastępy druhen i druhow zostały przeszkolone w służbie sanitarnej oraz łącznikowej. Latem 1939 roku zorganizowała obóz na jeziorze Białym. Młodzież

w harcerskich mundurach nie tylko wypoczywała, ale także szkoliła się we wspomnianych zadaniach pod hasłem: Służba Polsce.

W latach okupacji stanęła na czele konspiracyjnego Hufca ZHP w Białymstoku. Została także Zastępcą Komendantki Wojskowej Służby Kobiet w Białostockim Okręgu Armii Krajowej. Należała do Tajnej Organizacji Nauczycieli. We wrześniu 1941 roku Antoni Bućko, nauczyciel i weteran polskiego czynu niepodległościowego, wystarał się u władz niemieckich o zgodę na otwarcie prywatnej szkoły polskiej w Wasilkowie. Zatrudnił w niej nauczycieli: Jerzego Fiedorowicza, Jadwigę Kalisz oraz Walerię Waszkiewicz. Szkoła działała jedynie do 12 grudnia 1941 roku. Decyzją władz niemieckich została zamknięta. Tymczasem trzy miesiące istnienia stały się podwaliną do organizacji tajnego nauczania. Prym wiodła harcerka Waleria Waszkiewicz. W gminach: Wasilków i Supraśl zorganizowała i nadzorowała pracę ośmiu punktów tajnych kompletów na poziomie szkoły powszechnej. Uczyło się w nich ok. 200 dzieci.

W sierpniu 1944 roku Waleria Waszkiewicz podjęła się, wspólnie z Ireną Piotrowską – Waszkiel, zorganizowania szkoły w Wasilkowie. 1 września 1944 roku placówka zaczęła swoją działalność w pomieszczeniach udostępnionych przez księdza Antoniego Gajlewicza, proboszcza parafii wasilkowskiej. Natychmiast drużna Waleria, jakżeby inaczej, założyła drużyny zuchów i harcerzy. Znowu urządzała ogniska, biwaki i obozy. Była też wzorową nauczycielką. W dniu 9 września 1948 roku zorganizowała w szkole popołudniową zbiórkę harcerską. Wówczas do budynku wtargnęli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa i nauczycielkę aresztowali. Została skazana przez Wojewódzki Sąd Wojskowy Białymstoku na 6 lat więzienia, gdyż oskarżono ją o to, że od lipca 1944 roku do września 1948 roku siłą usiłowała zmienić ustrój państwa, przynależąc do AK – WiN. Odsiedziała w celi więziennej 14 miesięcy. Wyszła na wolność, ale przez kilka kolejnych lat nie mogła wrócić do zawodu nauczyciela, a była przecież dobrym matematykiem. Do pracy z młodzieżą powróciła po tzw. odwilży w 1956 roku. Uczyła w Supraślu oraz w Białymstoku. Zmarła w 1980 roku. Jej grób jest na cmentarzu farnym w Białymstoku.

*Źródło: Służyć Bogu i Polsce, gawędy o podlaskich harcerzach, Białystok 2021 oraz znalezione w sieci*

## Druhna Zofia Rutkowska

*Nie pracowała w szkole, ale swoje życie związała z ZHP – dziećmi i młodzieżą. Z dumą nosiła swój harcerski mundur. I przestrzegała słów zawartych w harcerskim przyrzeczeniu...*

– Zofię Rutkowską pamiętam z dawnych lat – wspomina pani Janina z klubu seniora w Supraślu. – Często miała na sobie mundur harcerski. Była ciepłą i otwartą dla ludzi kobietą. Jej cechą był uśmiech. Nieraz była w poczcie sztandarowym ZHP, podczas miejskich lub kościelnych uroczystości w Supraślu. Ludzie wiedzieli, że była mocno związana z harcerstwem...

– Cieszę się, że w waszej publikacji znalazło się miejsce na wspomnienie nie tylko o mojej babci, ale też mamie – mówi Anna Techmańska. – To prawda, że mama nie rozstawała się z harcerskim mundurem. Zachowałam go na pamiątkę. Zawsze z mamą jeździłam do Supraśla na różne patriotyczne uroczystości. Zakładała wówczas swój mundur. Z autobusu PKS wysiadaliśmy przy kinie. Witali nas z uśmiechem mieszkańcy ulicy Dolnej, bo moja mama też zawsze się uśmiechała. Z każdym umiała zamienić kilka słów i... pośmiać się. Taka właśnie ona była. Bardzo radosna. Dodam, że w naszym domu wciąż pojawiali się goście. Miała napraw-



dę wielu przyjaciół. Ja byłam także harcerką, ale dość krótko. Tymczasem mama, po przejściu na emeryturę, zaangażowała się w pracę harcerską z wielkim poświęceniem.

W czasie wojny, w 1943 roku, była, jako nastoletnia dziewczyna, zesłana na roboty przymusowe w III Rzeszy. Trafiła do sanatorium w Neukuhren dla rannych wysokich oficerów Wehrmachtu. – mówi córka. – Po latach wspominała, że właścicielka nie była złą kobietą. Zaopiekowała się nastoletnią Polką. W naszym domu mama nieraz wtrącała jakieś niemieckie słówka lub całe zdania. Może to stało się powodem, że zainteresowałam się językiem niemieckim i zostałam germanistką. – śmieje się nasza rozmówczyni. A swój uśmiech odziedziczyła po mamie. – Każdy z nas pamięta jakieś przysmaki przyrządzane przez mamę – mówi córka. – Ja pamiętam smak babki ziemniaczanej. Była najpyszniejsza. Nie potrafią upiec takiej samej. – dodaje Anna Techmańska.

Zofia Rutkowska urodziła się 14 sierpnia 1924 roku. Była córką Anny i Władysława Żynelów. W 1936 roku wstąpiła w szeregi Związku Harcerstwa Polskiego. Wkrótce została zastępową, a następnie przyboczną. W ostatnich latach życia była aktywnym członkiem Kręgu Instruktorów i Starszyny Harcerskiej im. ks. Pawła St. Grzybowskiego Chorągwi Białostockiej ZHP. W Kręgu pełniła funkcję skarbnika. Chętnie uczestniczyła w rajdach, zjazdach i zlotach. Zawsze była nienagannie umundurowana. Harcerka z krwi i kości. Wierna Prawu i Przrzeczeniu na co dzień. Gotowa była nieść braterską pomoc każdemu. Miała 17 lat, gdy Niemcy nakazali jej wyjazd w okolice Królewca. Już w maju 1944 roku Anna powróciła do domu. Tuż po wojnie postanowiła się dokształcić. Podjęła naukę w Korespondencyjnym Liceum Ekonomicznym w Sopocie. Zaczęła pracować w jednej z supraskich szkół. W 1948 roku wzięła ślub z Kazimierzem Rutkowskim, który także mieszkał w Supraślu. W okresie okupacji hitlerowskiej należał do Armii Krajowej. Nowe władze mocno uprzykrzały mu życie. Dlatego młodzi małżonkowie przenieśli się do Białegostoku. Zofia znalazła pracę biurową w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Właśnie tutaj spotykała nauczycieli – harcerzy. Zawsze ją ciągnęło do harcerstwa. Namawiała białostockich harcerzy do odwiedzania Supraśla i okolic. W pobliżu tego uroczego miasteczka była niegdyś harcerska baza na Półku. Szlaki Puszczy Knyszyńskiej były też świetnym miejscem do tury-

stycznych wędrówek z harcerską piosenką na ustach. Swoje doświadczenia przekazywała młodszym, będące instruktorem na kursach harcerskich. Do końca życia nie rozstawiała się z mundurem ZHP. W 1987 roku otrzymała stopień instruktorski przewodnika. Pięć lat później została podharc mistrzem. Wciągnęła ją bardzo praca w Kręgu Instruktorskim Seniorów, działającym przy Chorągwi Białostockiej ZHP. Phm. Zofia Rutkowska w dniu 16 lutego 2017 roku odeszła na wieczną wartę.

### *Babcia we wspomnieniach wnuczki*

– Babcia jako przedwojenna supraszka harcerka bardzo dbała o swój mundur harcerski – mówi Małgorzata Techmańska – Bergiel. – Zawsze wisiał odprasowany w szafie i gotowy do włożenia na zbiórkę. Niezwykle sumiennie traktowała wszystkie obowiązki harcerskie. Miała swoje ideały i wartości, które starała się wcielać w życie. Harcerstwo dawało jej radość, spełnienie i wiele sił. Była instruktorką harcerską. Dopóki mogła, dopóty szła na zbiórkę przed pałac Branickich, by na Wigilię przynieść do domu Betlejemskie Światło Pokoju. Zapalony znicz trzymała tak długo, aż zgasł. Została wychowana w wierze katolickiej. Nie wstydziła się religii, ale też z nią się nie obnosiła. Gdy ktoś coś złego zrobił lub powiedział, powtarzała: „Bój się Boga”. Ksiądz, jak był przy Dolnej z kolędą, moich dziadków odwiedzał na sam koniec. Wtedy babcia częstowała go swoimi przysmakami. Był też czas na rozmowy na wiele tematów. Lubiła gościć znajomych. Częstowała ich wtedy swoimi kluskami z mięsem (nie mylić z kartaczami) lub babką ziemniaczaną z kiełbaską. Piekł też pyszne ciasto kakaowe, nazywane przez nas „czarnym”. Jednak dla wszystkich jej wnuków ulubionym daniem przygotowywanym przez babcię była zaciereczka. Gdy oboje z bratem Tomkiem studiowaliśmy w Warszawie, przyjeżdżaliśmy w miarę często do domu. Babcia zawsze dawała nam prowiant: wspomniane kluski, bigos lub babkę ziemniaczaną. Zawsze starała się rozmawiać spokojnie i z uśmiechem. Ten spokój udzielał się nam wszystkim. Przez wiele lat gościła u siebie dziewczyny z domu dziecka na Litwie. Współpracowała wtedy z białostockim Stowarzyszeniem Otwarty Dom. Umiała i chciała dzielić się z potrzebującymi. Opiekowała się chorym supraślaniem, nieraz dokarmiając go swoimi zupkami. Starała się nas, wnuków za bardzo nie chwalić, aby „nie wyrosły nam rogi”. Martwiła się naszymi problemami i radowała z sukcesów. Była z nas dumna.



Jestem wdzięczna babci za jej okazane nam serce. I za to, że zamówiła mi u swojej supraskiej koleżanki – krawcowej, piękną sukienkę. Jestem wdzięczna za jej pyszne jedzenie. Ona też pokazała jak wielką sprawą jest wiara. Była w moim życiu niezwykle ważną Osobą...

Wspomnienia spisała dnia 20 XI 2024 wnuczka Małgorzata Techmańska-Biergiel

*PS. Każdy z nas miał lub ma babcie i dziadków. Nieraz nasze wspomnienia o nich są różne, jak różne są koleje naszego życia. Wspomnienie pani Małgorzaty jest wyjątkowo piękną laurką wystawioną babci. Jest też świadectwem ważnej roli kobiet – babci w wychowaniu kolejnego pokolenia. Bo taka była i powinna być nasza polska tradycja.*

## Kobiety w harcerskich mundurach



Helena Ostaszewska – rocznik 1922. Harcerką została w 1935 roku. Tylko w dobie wojny i okupacji nie nosiła harcerskiego munduru. W szkołach Białegostoku przepracowała ponad 40 lat. Z wykształcenia była polonistką. Kilkadziesiąt lat pracowała jako metodyk. Interesowała się także teatrem, żywym słowem, muzyką ludową, plastyką oraz organizacją pracy w ZHP. Przez 10 lat prowadziła konkurs polonistyczny dla młodzieży białostockich szkół podstawowych. Wydała 30 tomików swoich wierszy. Była laureatką wielu nagród w konkursach ogólnopolskich. Zmarła w 2017 roku.

### **Pytania**

Gdzie dzień?

Gdzie noc?

Gdzie rana jeszcze?

A gdzie już blizna?



*A pod nią co?  
Ojczyzna?  
Czyja Ojczyzna  
Jaka Ojczyzna?  
Komu Matka, chleb i dom?  
A komu –  
tylko wieków spuścizna?*

– Helena Ostaszewska była Komendantką Szczępu ZHP KOM-MAK w naszej ćwiczeniówce – wspomina Elżbieta Golińska. – Nazwa pochodziła od Janusza Korczaka i Kornela Makuszyńskiego. Nasze drużyny i zastępy też brały nazwy z ich książek. Tak wymyśliła nasza Szczepowa. Zaszczepiała w nas tradycyjne wartości harcerstwa. Treść przyrzeczenia mogę wyrecytować nawet teraz – I czynię to bez zająknięcia. – Komendantka mówiła, że u nas jest prawdziwe harcerstwo, a reszta to cywil banda. Czasy, wiadomo, były komunistyczne. I takie były akcje w ramach alertów, ale



zawsze druhnie udało się przełożyć na istic harcerskie działania. Nawet ułożyła hymn naszego Szczępu, zmieniając słowa, ale na melodię znanej pieśni legionowej. W ferie i wakacje zawsze zabierała nas na obozy. My, dzieciaki z podstawówki, sami rozstawialiśmy namioty wojskowe i urządzaliśmy kuchnię polową. Ileż to wówczas zdobyłam sprawności harcerskich! – Pokazuje książeczkę ZHP, w której jest doklejona kartka, gdyż nie mieściły się zdobyte sprawności. – Nauczyła nas, jak należy rozpalać ognisko, w dodatku koniecznie jedną zapałką. Zimą organizowała nam kuligi w Ogrodniczkach lub Supraślu. W szkole mieliśmy wieczornice, gdzie były harcerskie gry, zabawy, a przede wszystkim piosenki. Nieraz

też mieliśmy spotkania z kombatantami. Moją drużynową była Basia, córka Komendantki.

Pani Elżbieta z pietyzmem przegląda liczne harcerskie pamiątki. Pamięta imiona i nazwiska druchen i druhów. – Do ZHP należałam także w latach mojej nauki w LO III, gdzie istniała żeglarska 6 BDH. – snuje wspomnienia. – Przez pewien czas społecznie prowadziłam drużynę harcerską w SP nr 9 i byłam członkiem władz Hufca ZHP w Białymstoku. To wszystko jest zasługą druhnny Ostaszewskiej – mówi pani Elżbieta.

## Druhna Maria Bochniak



Była nauczycielką w szkole podstawowej nr. 4 w Białymstoku i Komendantką Szczepu ZHP Błyskawica. Harcerze nazywali ją pieśczośliwie: „Cioteczka”. Z pasją organizowała akcję letniego wypoczynku swoich podopiecznych. Zabierała też chętnie młodych harcerzy na kilkudniowe biwaki. – Kochana „Cioteczka”

– tak mówi o niej Leszek Będziechowski. – Wspaniała postać w harcerskim mundurze. Miałem zaszczyt być w kadrze Szczepu ZHP Błyskawica pod wodzą druhnny Marii...

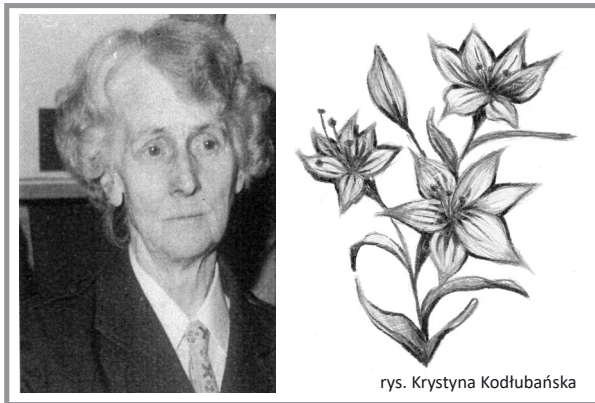
-Druhna Bochniakowa to kobieta z dużą dozą humoru – wspomina Anna Markiewicz. – Ale wymagała też harcerskiej dyscypliny, a przede wszystkim ładu i porządku. Taka właśnie była. I nas tego nauczyła na biwakach i obozach.

## Jadwiga Jędrachowicz – Babcia

– Jan i Jadwiga Jędrachowiczowie. Pamiętam ich jak nieraz szli z Izby Tradycji ZHP znajdującej się w szkole podstawowej nr 23 przy ulicy Kościelnej w Białymstoku, trzymając się za ręce, do pobliskiej fary na mszę. – wspomina dh Andrzej Bajkowski, wieloletni Komendant

Białostockiej Chorągwi ZHP – Oboje w mundurach harcerskich, chociaż władza ówczesna niechętnie patrzyła na wszelkie związki aktywistów ZHP z Kościołem.

To właśnie oni urządzali wspomnianą Izbę Tradycji ZHP. Przyjmowali tam gości w harcerskich mundurach, snując gawędy przy zaimprovizowanych kominkach. Przyjmowali zuchowe obietnice, harcerskie przyrzeczenia oraz instruktorskie zobowiązania. Dla młodzieży w szarych lub zielonych mundurach zawsze mieli czas.



## Powstańcza sanitariuszka

*Lekarka, sanitariuszka, żołnierz Armii Krajowej, uczestniczka powstania warszawskiego. W czerwcu 2024 świętowała 100. lecie urodzin. Władze Supraśla pamiętały o tym niezwykłym jubileuszu, niezwykłej kobiecie...*

Urodziła się 23 czerwca 1924 roku w wojskowej rodzinie Kostrzów. Rodzice przez krótki czas mieszkali w Białymstoku. Tutaj właśnie na świat przyszła Irena. Jako nastolatka mieszkała w garnizonie w Zegrzu Północnym, gdzie mieściło się Wojskowe Centrum Wyszkolenia Łączności. Jej ojciec, kapitan Walerian Kostrz, był wykładowcą w tamtejszej Szkole Podchorążych. Matka, Maria z Glińskich, zajmowała się wychowaniem



dzieci. Kształcący się w Zegrzu żołnierze byli częstymi gośćmi w domu rodziców pani Ireny. Bywali także młodzi mundurowi z miejscowego zespołu rewelersów. To jeden z nich, podchorąży Antoni Wasilewski, był autorem tekstu popularnej piosenki „Serce w plecaku”. Pani Irena była nawet świadkiem napisa-

nia ostatniej zwrotki. I to ona, jako pierwsza, zaśpiewała pełną wersję tej wojskowej piosenki.

Po wybuchu II wojny światowej, zaledwie szesnastolatka, o pseudonimie „Ira”, służyła w wywiadzie Armii Krajowej. Kostrzowie mieszkali wówczas w Warszawie. Dziewczyna podjęła też tajne studia medyczne. Dlatego po wybuchu Powstania Warszawskiego została sanitariuszką w V Obwodzie Warszawskiego Okręgu Armii Krajowej na Mokotowie. Młodszy brat Ireny - Tadeusz Kostrz „Awar” także walczył w powstaniu. Był żołnierzem kompanii „Grażyna” w batalionie „Harnaś”. Poległ 28 sierpnia 1944 roku w trakcie walk na Krakowskim Przedmieściu. Pochowany jest, wraz z rodzicami, na Powązkach Wojskowych. Irena wyszła z Warszawy wraz z ludnością cywilną. Droga wiodła przez obóz przejściowy w Pruszkowie, gdzie spotkała koleżankę Urszulę Mazowiecką. Ta pomogła jej znaleźć schronienie w pobliskim Piastowie. Po wojnie Irena powróciła do Warszawy, gdzie ukończyła studia medyczne. Specjalizację z pediatrii zdobyła w warszawskim Szpitalu Dziecięcym. Wyszła za mąż za lekarza ortopedę. Małżonkowie wyjechali do śląskiego Bytomia. Taki był nakaz ówczesnych władz. Irena Kostrz-Molska została tam ordynatorem Oddziału Dziecięcego, zajmującego się pacjentami z chorobą Heinego-Medina (polio). Po pięciu latach państwo Molscy przenieśli się do Supraśla, a pracę znaleźli w białostockiej służbie zdrowia. I pozostali na Podlasiu.

Władze samorządowe Supraśla od wielu lat otaczają sanitariuszkę z powstania warszawskiego opieką i... szacunkiem. Godnie też uhonorowały jej setne urodziny.

## Odważne nauczycielki

*Okupacja Białegostoku trwała od września 1939 do lipca 1944 roku.. Najpierw była sowiecka, a następnie niemiecka. Ci pierwsi natychmiast poddali miejscową oświatę sowietywacji we wszelkich możliwych formach. Liczne grono pedagogów zostało deportowane na Wschód. Niemcy, po wcieleniu Białegostoku do III Rzeszy, całkowicie zlikwidowali szkolnictwo. Polska oświata natychmiast zeszła do podziemia...*

Maria Kolendo jest jedną z najbardziej zasłużonych, choć zapomnianych, postaci w dziejach białostockiego szkolnictwa. Jej pasją było gromadzenie i dokumentowanie dziejów oświaty w naszym regionie. Wiele lat poświęciła na spisanie historii tajnego nauczania na Białostocczyźnie w latach okupacji niemieckiej. Temat ten był jej szczególnie bliski, ponieważ współtworzyła tajne tzw. komplety.

Maria Kolendo, z domu Wodzyńska, urodziła się 25 stycznia 1894 roku w Warszawie. Ukończyła siedmioklasowy Prywatny Zakład Naukowy Żeński I Rzędu Natalii Porazińskiej z kursem gimnazjum żeńskiego. W 1916 roku rozpoczęła pracę jako nauczycielka w szkole ludowej we wsi Dmochy-Glinki na Podlasiu. 1 sierpnia 1925 roku objęła posadę nauczycielki języka polskiego i historii oraz kierowniczką biblioteki w Szkole Handlowej im. Mikołaja Kopernika w Białymstoku.

W 1931 roku zawarła związek małżeński z nauczycielem Władysławem



Jerzym Kolendo. W tym samym roku małżonkowie przeprowadzili się do Brześcia. W 1935 roku nagle zmarł jej mąż. Wówczas zaproponowano Marii Kolendo pracę w Państwowym Gimnazjum im. ks. Anny Jabłonowskiej w Białymstoku. Powróciła do Białegostoku i została dyrektorem tej placówki. Właśnie z naszym miastem związała swoją dalszą pracę zawodową i życie prywatne. W czasie okupacji sowieckiej straciła stanowisko dyrektora, ale pozostała nauczycielem i bibliotekarzem. Kiedy w 1941 roku Niemcy zajęli Białostoczczyznę, natychmiast szkolnictwo sowieckie zastąpiono niemieckim, ale tylko na poziomie podstawowym. Jeszcze w tym samym 1941 roku szkoły zostały całkiem zamknięte. Maria Kolendo znalazła zatrudnienie w urzędzie paszportowym w Białymstoku. Miejscowi nauczyciele natychmiast zaczęli organizować tajne komplety. Początkowo działania te miały charakter inicjatyw oddolnych, będących wynikiem spontanicznego oporu przeciw polityce okupanta. Maria Kolendo znalazła się w ścisłym gronie organizatorów podziemnego szkolnictwa. Pierwszy komplet tajnego nauczania na poziomie gimnazjalnym zorganizowano w Białymstoku w dniu 3 października 1941 roku. Natomiast pierwszy egzamin maturalny odbył się w maju 1943 roku. W tym samym roku Departament Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj powołał Okręg Szkolny Białostocki, a kierownictwo powierzono Marii Kolendo. Ta zasłużona nauczycielka odeszła na emeryturę 30 czerwca 1958 roku. Zajął się wówczas gromadzeniem dokumentacji tajnego nauczania. Dążyła do rozpropagowania i upowszechnienia dokonaj nauczycieli tajnych kompletów i zachowania pamięci o nich wśród młodego pokolenia białostoczan. To właśnie ona zaproponowała, aby jedną z białostockich szkół (SP Nr 27) nazwano imieniem Nauczycieli Tajnego Nauczania. Pomogła także w organizacji Izby Pamięci poświęconej tajnemu nauczaniu. Nie można oprzeć się wrażeniu, że zaangażowanie w to przedsięwzięcie, będące zwieńczeniem jej wieloletniej pracy nad historią tajnego nauczania na Białostoczczyźnie, dodawało nauczycielce sił i trzymało przy życiu. Projekt zakończono 19 lutego 1980 roku, a miesiąc później, 20 marca, Maria Kolendo zmarła. Miała wówczas 86 lat. Pochowana została na cmentarzu farnym w Białymstoku. W zebranych materiale o tajnym nauczaniu znajduje się długa lista kobiet – nauczycielek. Warto niektóre z nich przypomnieć...



### *Z archiwum Marii Kolendo:*

... 3 października 1941 roku, w mieszkaniu autorki archiwum, odbyło się tajne spotkanie nauczycieli w sprawie organizacji nauczania na poziomie gimnazjalnym. W tym gronie znalazła się także Janina Gątkiewicz, nauczycielka biologii. Zajęto się też planami organizacji nauczania na poziomie podstawowym. Wkrótce nasze miasto pokryło się gęstą siecią punktów tajnego nauczania. Najwięcej ich powstało w dzielnicy Bojary. Liczną grupę nauczycieli stanowiły kobiety: Julia Mazgajówna, Maria Wąchałówna, Maria Duplicka, Józefy: Łypaczewska i Wawrykowa. Przy ulicy Sobieskiego 30 mieszkały i nauczały panie: Stefania Kawikówna, Jadwiga Matoszkowa, Zofia Kubikowska oraz Anna Wattmanówna. Większość z nich nie była wówczas mężatkami. Z tym większym zaangażowaniem i odwagą te młode kobiety wciągnęły się do podziemnej pracy nauczycielskiej. Władysława Zimmerman, która mieszkała, wraz z mężem Władysławem, przy ulicy Staszica na Bojarach, nauczała w swoim domu gromadkę aż 50 dzieciaków. Po sąsiedzku, także w swoich domach, komplety prowadziły siostry: Janina Jabłońska i Maria Wrońska, a także Irena Żołędziowska i Malwina Mozelewska. W tej starej białostockiej dzielnicy były także komplety na poziomie gimnazjalnym, z nauczycielkami: Zofią Gacińską, Janiną Nizińską i Heleną Żyłkiewicz.

Liczne punkty tajnego nauczania znajdowały się przy ulicy Mickiewicza. Uczyły: Natalia Dzierżyńska, Janina Rybkówna, Helena Mońko, Stanisława Zelwinderowa i Leonarda Pawlakowa. Przy ulicy Orzeszkowej 5 tajne lekcje organizowała Anna Hajmowiczówna. W swoim domu urządziła także sierociniec, w którym opiekowała się gromadką 12 dzieci, których rodzice zostali zamordowani. Wkrótce na bazie tego sierocińca powstała podziemna szkoła podstawowa, w której naukę na poziomie klas: pierwszej i drugiej pobierała gromadka aż 60 dzieci. Gdy późną jesienią władze niemieckie poleciły opuścić dom przy ulicy Orzeszkowej, nauczycielka znalazła nowe miejsce przy ulicy Wesolej 5, gdzie wcześniej znajdował się dom starców. Przez kolejne dwa lata, ta odważna kobieta prowadziła szkołę, w której naukę pobierało łącznie ponad 300 dzieci! W tej liczbie było 25 sierot. Prowadzenie tak dużej, tajnej placówki wymagało od Anny Hajmowiczówny wielkiej umiejętności organizacyjnej, ale przede wszystkim odwagi cywilnej. W swej pracy nie była osa-

motniona. Pomagały nauczycielki: Maria Biżuto, Jadwiga Kantkówna, Maria Różycka oraz Jadwiga Farant. Doraźnie wspomagały inne koleżanki z białostockiej Tajnej Organizacji Nauczycieli. Przy kościele św. Rocha w Białymstoku istniał drugi sierociniec, w którym także zorganizowano naukę na poziomie szkoły powszechnej. Prowadziły go siostry z zakonu założonego przez Bolesławę Lament. Kierowniczką była osoba świecka – Jadwiga Sztrauch, zaś nauką zajmowały się dwie zakonnice: Anna Bielicka oraz Ewa Bienigma Kowalewska.

Kolejne punkty podziemnej oświaty znajdowały się przy ulicach Młynowej i Bema. W gronie nauczycieli tam mieszkających były: Janina Gątkiewiczowa i Genowefa Kurpiosowa. W domu małżeństwa Bronisławy i Jana Radziukiewiczów na Antoniuku naukę prowadzono na dwóch poziomach. W tym samym domu siostry Szeromskie nauczały dzieci z młodszych grup wiekowych. Na pobliskim Białostoczku, który wówczas był jeszcze wsią, tajne nauczanie prowadziły: Eugenia Homan, Joanna Romanowicz, Marta Plesiewicz, Wiktoria Borowcowa, Zofia Kartusze-wiczowa, Helena Leszczyńska, Czesława Sobolewska... Wreszcie na Wygodzie, w swoich domach, komplety zorganizowały: Irena Banaszczykowa, Janina Jaworska z mężem Józefem, Maria Biżuto, Jadwiga Faratowa. Nie do wszystkich nauczycielek z lat wojny i okupacji dotarła autorka biogramów zamieszczonych w archiwum. Warto jednak pamiętać, że te kobiety ryzykowały wówczas aresztowaniem, więzieniem, zesłaniem do obozu koncentracyjnego, a nawet śmiercią.

Dotychczas historycy nie podjęli się rzetelnego opracowania działalności białostockiej Tajnej Organizacji Nauczycieli, która miała kryptonim Puszcza. Tymczasem to pedagodzy, w dużej mierze kobiety, ryzykując swym życiem starali się w warunkach okupacyjnych prowadzić pracę oświatową, wiedząc iż jest konieczna nie tylko teraz, ale przede wszystkim na przyszłość. Wierzyli, że okupacja nie będzie trwać wiecznie. Tym cenniejsze są właśnie wspomnienia o tych kobietach, zgromadzone przez Marię Kolendo.

*Źródło: Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Białymstoku, teczka: Marian Kolendo: Z dziejów tajnego nauczania w latach 1941-1944, Białystok 1966.*

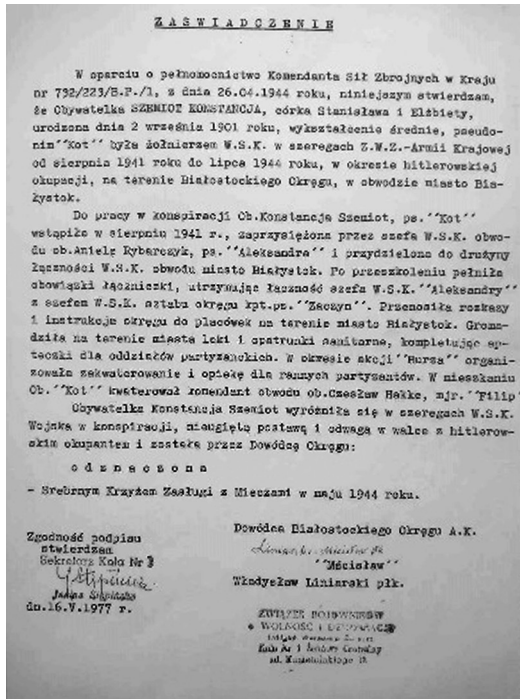
*Alina Zawadzka: Maria Wodzyńska Kolendo (1894 – 1980).*

## Kobiety z archiwum pani Elżbiety

*Pani Elżbieta Golińska jest rodowitą mieszkanką naszego miasta. Na emeryturze nie ma czasu na nudę. Z pietyzmem porządkuje bogate archiwum rodzinne. A jest tego naprawdę dużo. Wszystko uporządkowane, opisane, skatalogowane. Jej rodzina zapisała piękną, lecz nieznaną kartę w historii Białegostoku.*

– Konstancja Szemiot to rodzona siostra mojej babci – mówi pani Elżbieta. Była rodowitą mieszkanką Białegostoku. Urodziła się w 1901 roku. Miała siedmioro rodzeństwa. Wcześniej straciła ojca. Dlatego, wraz ze starszymi siostrami, wyjechała w głąb Rosji w poszukiwaniu dobrej pracy i zarobku. Konstancja uczyła się w rosyjskim gimnazjum w Barnaule niedaleko Irkucka. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę dziewczyny powróciły do Białegostoku.

Konstancja przed wybuchem wojny pracowała w białostockim Seminarium Nauczycielskim. W sierpniu 1941 roku, tuż po opanowaniu miasta przez Niemców, została zaprzysiężona, przyjmując pseudonim „Kot”



i przydzielona do Wojskowej Służby Kobiet. Jej przełożoną została Aniela Rybarczyk, która mieszkała przy ulicy Skorupskiej, czyli nieopodal domu Szemiotów. Została przeszkolona jako łączniczka. Przenosiła rozkazy oraz instrukcje Komendy Okręgu do placówek znajdujących się na terenie miasta. Współorganizowała pomoc więźniom oraz rodzinom aresztowanych. Gromadziła leki i opatrunki, kompletowała apteczki dla powstających oddziałów partyzanckich. W lipcu 1944 roku wzięła udział w mobilizacji w ramach przygotowania planu Burza. Jej obowiązkiem było zorganizowanie i zaopatrzenie punktów pomocy medycznej przystępującym do realizacji planu Burza pododdziałom Armii Krajowej. Jej dom rodzinny pełnił funkcję tzw. meliny dla Komendanta Obwodu Białystok – Miasto mjr. Czesława Hake. Wiadomo także, że w tym domu ukrywano część archiwum Komendy Obwodu, wraz z wykazem nazwisk i pseudonimów. – W piwnicy, w kuchni jej mamy... – tłumaczy pani Elżbieta. – Tam było ukryte wspomniane archiwum. Podczas niemieckiej rewizji Elżbieta Szemiot, matka Konstancji (rocznik 1863), usiadła na stołeczku, znajdującym się na chodniku, przykrywającym wejście do piwnicy. I nie ruszyła się z tego miejsca dopóki Niemcy nie opuścili jej domu. Ta kobieta też jest godna wspomnienia. Jej mąż Stanisław zmarł w 1912 roku, więc to na nią spadł obowiązek utrzymania tak liczego potomstwa. Na szczęście miała wsparcie w starszych córkach.

Jej kuzyn Henryk Szemiot, który mieszkał przy ulicy Skorupskiej, pełnił odpowiedzialną funkcję w komórce legalizacyjnej Armii Krajowej. Nie raz mu pomagała. W 1944 roku, za dzielną służbę, została uhonorowana Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po tzw. wyzwoleniu, w obawie przed aresztowaniem, wyjechała do Szczecina, gdzie pracowała w księgowości. Do Białegostoku, już jako emerytka, powróciła w 1972 roku. W 1984 roku otrzymała Krzyż Partyzancki, a także uhonorowano ją Medalem Zwycięstwa. – To była bardzo ciepła i rodzinna kobieta – wspomina pani Elżbieta. – Nie założyła własnej rodziny, ale tym bardziej garnęła się do nas. Szyła ubranka... moim lalkom. Pamiętam sztruksowy płaszczyk, z podszewką, watoliną i futrzanym kołnierzykiem. Żadna z moich koleżanek nie miała tak pięknie ubranych lalek. Ciocia „Kocia”, tak ją nazywałam, nigdy nie wspominała przeszłości. Zmarła 8 sierpnia 1988 roku.

## Mama...

Regina Świdarska, z domu Białecka, urodziła się w 1922 roku. Jej rodzinna kamienica znajdowała się przy ulicy Warszawskiej 95 w Białymstoku. W szkole powszechnej, jak większość jej koleżanek, wstąpiła do harcerstwa. W 1939 roku ukończyła naukę w Gimnazjum Anny z Sapiehów Jabłonowskiej. Zdała egzamin wstępny do liceum, który był przepustką na wymarzone studia. We wrześniu 1939 roku, jako harcerka, włączyła się do służby w punkcie pomocy żołnierzom, który znajdował się przy białostockim dworcu kolejowym. Pomagała w rozdawnictwie żywności i papierosów, a także wspomagała koleżanki – sanitariuszki. – Mama niewiele opowiadała o czasach wojny – mówi pani Elżbieta. – Jednak zapamiętałam jedną jej opowieść. Otóż trwało lotnicze bombardowanie naszego miasta. Jedna z bomb spadła na budynek fabryki znajdującej się na styku ulic: Orzeszkowej i Warszawskiej, czyli tuż obok domu Szemiotów, w którym mieszkała mama z rodziną. Odłamki raniły nastoletniego chłopca. Mama opatrywała go łazience, w której można było bezpiecznie zapalić światło. W mieście przecież obowiązywało całkowite zaciemnienie. Bardzo bała się, że przy kolejnym wybuchu bomby spadnie na ich głowy bojler podwieszony pod sufitem.

Wybuch wojny nie pozbawił ją marzeń o zdobyciu wykształcenia. Regina najpierw podjęła naukę w sowieckiej szkole, w której polscy nauczyciele dyskretnie przekazywali patriotyczną wiedzę. W czasach niemieckiej okupacji zapisała się na tajne komplety, uzyskując świadectwo dojrzałości. Harcerstwo dobrze ją przygotowa-



to do służby Ojczyźnie w trudnych czasach. Wojnę i okupację przetrwała w rodzinnym mieście. Złożyła partyzancką przysięgę razem z Konstancją Szemiot – mówi Elżbieta Golińska. – I także została skierowana do Wojskowej Służby Kobiet. Przyjęła pseudonim Wir. Była łączniczką przy Komendzie Obwodu AK Białystok – Miasto. Odbyła także kurs sanitarny. W przededniu realizacji planu Burza brała czynny udział w gromadzeniu lekarstw i środków opatrunkowych. Wspólnie z dziewczynami z WSK przygotowywała kwatery partyzanckie i punkty sanitarne. Współpracowała także z Henrykiem Szemiotem z komórki legalizacyjnej AK, pomagając przy wyrobie fałszywych dokumentów. W lipcu i sierpniu 1944 roku, w jej domu rodzinnym, jedną z tajnych kwater miał mjr. Czesław Hake, ówczesny Komendant Obwodu AK Białystok – Miasto. Tuż po zakończeniu okupacji zdała ostatnie wymagane egzaminy licealne i podjęła studia humanistyczne w Krakowie, a następnie w Poznaniu. W 1950 roku wróciła, wraz z mężem Waldemarem Świderskim, do Białegostoku. Pracowała w miejscowej Akademii Medycznej, a także Teatrze Lalek oraz Wyższej Szkole Teatralnej. Jednak z harcerstwem nie zerwała. Należała przez kilka lat do Koła Przyjaciół ZHP przy białostockiej „ćwiczeniówce”...

-Każdy z nas pamięta smaki z czasów dzieciństwa – mówi pani Elżbieta. – Mama robiła najsmaczniejsze torty: orzechowy oraz „panieński”. Przepisy mam zachowane. Ten drugi tort jest przekładańcem kruche go ciasta z pianką zrobioną z... – No i na tym koniec. Przepis ma zostać rodzinną tajemnicą. – dodaje gospodyni.

Dobrze, że w naszym Białymstoku są takie rodziny, a w nich takie kobiety, które z pietyzmem przechowują, a przede wszystkim kultywują historię rodzinną.

*Fot. Z archiwum rodzinnego pani Elżbiety Golińskiej*

## **Jedynaczka wychowana w duchu polskim**

*Niełatwe były losy pokolenia, które tak krótko cieszyło się zdobytą niepodległością. A miało ono tyle nadziei i wiary w siebie, że mieszkać będą w kraju bezpiecznym i zamożnym. Tak się nie stało. Wojna spowodowała hekatombę narodu polskiego, zaś wiele setek tysięcy wyruszyło na długą*



*tułaczkę, bez możliwości powrotu w ojczyste strony. Jednak nigdy nie wyparli się swojego pochodzenia. Taką była nasza bohaterka.*

Neoniła Wilczyńska była córką rotmistrza 9 Pułku Strzelców Konnych w Grajewie. Jan Wilczyński w połowie lat 30. przeszedł na emeryturę. Rodzina przeniosiła się więc do Białegostoku. W sierpniu 1939 roku został ponownie zmobilizowany i wcielony do Podlaskiej Brygady Kawalerii. W wojnie wrześniowej dowodził taborami wspomnianej brygady. Córka, chociaż to przecież płeć żeńska, była wychowywana jak chłopiec. Wojsko też lubiła. Z chęcią więc zapisała się w 1930 roku na kurs przysposobienia wojskowego. W 1934 roku zdała maturę i natychmiast wyjechała na kolejne szkolenie wojskowe w Spale. Od jesieni 1938 roku mieszkała w Wołkowysku, gdzie prowadziła szkolenie młodzieży do służby pomocniczej naszemu wojsku. W sierpniu 1939 roku została skierowana do Białegostoku. Otrzymała przydział do międzymiastowej centrali telefonicznej i mianowana szefem tamtejszej drużyny Przysposobienia Wojskowego. W nocy z 26 na 27 sierpnia otrzymała kartę mobilizacyjną podpisaną przez ppłk. Szafranowicza. Włożyła więc mundur i stawiała się w centrali telefonicznej. Jej przełożony Lipko także założył mundur wojskowy w stopniu kapitana. Tuż przed wkroczeniem Niemców do Białegostoku załoga centrali została rozformowana. Tymczasem w szkole powszechnej w Choroszcy Niemcy zorganizowali obóz jeniecki. Wśród żołnierzy wielu było rannych. Nela natychmiast zorganizowała grupę dziewcząt i uzyskała zgodę Niemców na udzielanie doraźnej pomocy sanitarnej. Młode białostoczanki zostały świetnie przeszkolone w Przysposobieniu Wojskowym, zyskując nawet uznanie ze strony wroga. Duża w tym zasługa Wilczyńskiej. Zdobyła także wóz jednokonny, którym dziewczyny przewoziły kontuzjowanych jeńców do pobliskiego szpitala psychiatrycznego. Doktor Deresz umieszczał ich w izolatkach dla szczególnie niebezpiecznych pacjentów. W ten sposób uratowana została przed niewolą kilkudziesięcioosobowa grupa żołnierzy. Wilczyńska zorganizowała także dożywianie jeńców. Niemcy ponownie wyrazili zgodę na tę formę pomocy. Tymczasem, tuż przed końcem pierwszej okupacji niemieckiej, hitlerowcy dokonali mordy na kilkunastu polskich jeńcach wojennych. I pogrzebali na skraju szkolnego boiska. Mordercy odeszli, zanim pojawili się Rosjanie. Ludność miejscowa, pod wodzą młodej Wilczyńskiej, natychmiast ruszyła

do budynku szkoły i szpitala, aby ratować naszych żołnierzy. Tymczasem nowi okupanci natychmiast nakazali stawić się jej w swej dotychczasowej pracy, czyli w międzymiastowej centrali telefonicznej. Nela nie znała języka rosyjskiego. Nie wiedziała więc, co oznacza pojęcie: otcziestwo. I przy wypowiedaniu nazwiska Stalina nie użyła Wissarionowicz. Tylko swemu życiowemu szczęściu zawdzięczała, że po przesłuchaniu w siedzibie NKWD, nie została aresztowana. Do konspiracji trafiła u zarania jej istnienia. Wojskową przysięgę odebrał od niej kpt. Lipka. W Służbie Zwycięstwu Polski została łączniczką. Niedługo trwała jej konspiracyjna służba. Nela Wilczyńska – Roman została aresztowana przez sowieckie NKWD. Mieszkała wówczas, wraz z mężem, którego poślubiła w styczniu 1940 roku, przy ulicy Parkowej w Białymstoku. Na krótko udało się jej ukryć, a następnie uciec do domu swoich teściów. Jednak enkawudziści bez trudu ją znaleźli. W nocy z 26 na 27 kwietnia 1940 roku trafiła do celi więziennej w budynku dawnej Izby Skarbowej przy ulicy Mickiewicza. Śledczy znał nie tylko jej nazwisko panieńskie i ślubne, ale też i konspiracyjne. Przywitał ją jako... Kalinowską. Aresztowaną dokładnie przeszukano. Tymczasem młodej mężatce udało się zachować zdjęcie swego niedawno poślubionego męża. Ukryła jego podobiznę w... pantofelku. Ta



fotografia, wielokrotnie złożona w malutki kwadracik, wędrowała wraz z Nelą przez całą wojnę. W czasie wielodniowego śledztwa doświadczyła tortur i poniżenia. To drugie najbardziej bolało. Wytrzymała, nie wydając nikogo i nie ujawniając żadnej z tajemnic konspiracji. Sowieci wywieźli ją z Białegostoku do Brześcia, a następnie do więzienia w Mińsku. Przez trzy miesiące była przetrzymywana w pojedynce. Pewnego dnia otworzyły się drzwi celi. Strażnicy wrzucili do pomieszczenia młodą, wycieńczoną Polkę. To była Teresa Wittych – białostoczanka, przyjaciółka Neli i także łączniczka. Pewnego dnia śledczy zabrał Nelę na przesłuchanie. Zapowiedział, że będzie konfrontacja i Nela nie będzie już mogła wyprzec się przynależności do partyzantki. Po chwili wprowadzono młodą kobietę. Wilczyńska na jej widok parsknęła śmiechem i powiedziała: To dziewczyna z mojej celi. Razem siedzimy. Nigdy jej wcześniej nie widziałam. Enkawudzista spurpurowiał ze złości. Wiedział, że na nic się zda konfrontacja. Po latach wspominała, jak wielkim utrapieniem były silne żarówki w suficie. Po kolejnych kilku tygodniach została przeniesiona do celi zbiorowej. Tam spotkała wiele osób, które pochodziły z Białegostoku i okolic. Sowieccy śledczy namawiali więźniów do podjęcia współpracy. Tymczasem Nela przyjęła nietypową postawę. Otóż mówiła, że z ochotą podejmie pracę w każdym kołchozie lub fabryce. I będzie pracować wydajnie. Nie o taką pracę chodziło enkawudzistom. Po wielu latach ze łzami w oczach wspominała więzienną Wigilię. Polki odmówiły przyjęcia obiadowego posiłku, tłumacząc iż w tym dniu obowiązuje je post. Za opłatek posłużył katorżniczy chleb. Więźniarki cicho zaśpiewały kolędę, a po chwili coraz głośniej, odważniej. Do ich śpiewu dołączyli więźniowie z innych cel. Smutna to była Wigilia. Wkrótce Wilczyńska usłyszała wyrok: 8 lat ciężkich robót w łagrze. Odmówiła napisania prośby o ułaskawienie. Zdumionemu enkawudziście spokojnie wyjaśniła, że o łaskę prosi tylko ten, który zawinił. – Nie mam zamiaru u was tyle czasu siedzieć – dodała buńczucznie. W transporcie do Kazachstanu spotkała znajome kobiety z Białegostoku: żonę doktora Deresza z dziećmi i Lenę Zylbefenig, żonę znanego fabrykanta. W kazachskim łagrze znowu spotkała Teresę Wittych. Jednak nie przyznały się do swej znajomości. W Kazachstanie zachorowała na azjatycką odmianę malarii, której nawroty trapiły ją do końca życia. Tymczasem 13 sierpnia 1941 roku z głośnika łagrowej

toczki usłyszała wiadomość: Polacy otrzymują wolność! To był wynik układu Sikorski – Majski. Tego samego dnia Wilczyńska odmówiła wykonania zleconej jej pracy. Bramę obozu przekroczyła dopiero 3 września 1941 roku. Jednak do polskiego obozu wojskowego w Buzułuku droga była bardzo daleka, ale szczęśliwa. Otóż całkiem przypadkowo spotkała swojego ojca. Nela Wilczyńska, dobrze przygotowana do pełnienia funkcji dowódczych i świetna organizatorka, została mianowana kometantką obozu kobiecego. Prawie 60 Polek zostało przeszkolonych w prowadzeniu wojskowych samochodów ciężarowych. Organizacją i prowadzeniem takich kursów Nela Wilczyńska zajmowała się aż do zakończenia działań wojennych. Po wojnie osiedliła się w Anglii, gdzie dotarła do niej wiadomość o śmierci męża, którego zamordowali Niemcy. Wyszła po raz drugi za mąż i wyjechała do dalekiej Australii. W tamtejszym klimacie jej choroba mniej dokuczała. Wyuczyła się zawodu krawcowej, zaś jej mąż Boratyn parał się ślusarstwem. Jednak Nela zawsze znalazła czas, aby działać w polskich organizacjach kombatanckich i polonijnym harcerstwie. W Australii, poza pracą zawodową, Nela Boratyn poświęcała każdą wolną chwilę pracy społecznej. Była aktywna nie tylko w środowisku kombatanckim i polonijnym. Udzielała się społecznie. Przez długie lata, jako wolontariuszka, pracowała w miejscowym szpitalu. Uczyła także historii w polskich szkółkach niedzielnych. Brała udział w licznych akcjach charytatywnych. Zmarła 17 czerwca 2005 r. w Melbourne.

## One w naszych wspomnieniach

*Spośród wielu zawodów jest tylko jeden, którego przedstawiciele towarzyszą nam, od momentu narodzin, a potem przez nasze całe życie. To pracownicy służby zdrowia. Wśród nich pokażną grupę stanowią kobiety – lekarki. Najpierw opiekowali się nami pediatrzy. Oczywiście, prawie zawsze kobiety – lekarki, potem lekarze rodzinni, no i, wraz z wiekiem, specjaliści od przeróżnych, kolejno nabywanych schorzeń. Badanie, właściwa diagnoza, konsultacje ze specjalistami, to ważne. Tymczasem o naszej ocenie pracy lekarza decydują nieraz całkiem inne cechy. O nich opowiedzieli nasi seniorzy.*

– Jestem przypisana do przychodni lekarzy rodzinnych przy ulicy Gen. Hallera – mówi pani Halina – Doktor Halina R. opiekowała się kiedyś moimi dziećmi. Najpierw je „wyleczyła” z obaw przed wizytą w lekarskim gabinecie. I strachu przed białym, lekarskim fartuchem. Teraz jest ona moim lekarzem rodzinnym. Lubię panią doktor dlatego, że wie dobrze o wszystkich moich dolegliwościach. I zawsze cierpliwie wysłucha. Po wizycie w jej gabinecie zawsze czuję się jak nowo narodzona – dodaje z uśmiechem seniorka.

Pani Anna nie chce rozpisywać się o swojej chorobie. Chciałaby jednak opowiedzieć o lekarce z Białostockiego Centrum Onkologii – Doktor Maria K. to bardzo młoda lekarka. Zaopiekowała się mną z wielką troską – tłumaczy seniorka – Leczy nie tylko lekarami, ale też dobrym słowem i... uśmiechem. To jest wyjątkowo skuteczne „lekarstwo” – ocenia pani Anna.

Pani Bożena jest także pacjentką Białostockiego Centrum Onkologii. Nad jej powrotem do zdrowia czuwa doktor Krystyna O.. – Jest ona lekarzem z prawdziwego zdarzenia – mówi – Oddana każdemu pacjentowi. Zajmuje się mną z wielką troską. Interesuje się dosłownie każdą cząstką mojego ciała. I moją głową. Nie da się wyleczyć pacjenta, bez jego mocnej psychiki – dodaje pani Bożena.

– Chciałabym wyróżnić Halinę, pielęgniarkę z przychodni przy ulicy Świętokrzyskiej w Białymstoku. – mówi pani Daniela – Jest zawsze uśmiechnięta, z wielką serdecznością wobec pacjentów. Ma duże poczucie zawodowej odpowiedzialności. Pacjenci są zawsze bardzo zadowoleni z jej sprawnej obsługi. Zanim wejdą do gabinetu lekarskiego, już czują się nieco zdrowsi. A to wszystko dzięki tej niezwykle sympatycznej pielęgniarce. Odczuwam wobec niej wielką wdzięczność. Takiej serdeczności nigdzie nie doświadczam, chociaż mój stan zdrowia zmusza do częstych odwiedzin w przychodni, a także w gabinetach specjalistów. Spotkałam też wspaniałą lekarkę – reumatologa. Kiedyś robiłam badania, ale zanim trafiłam do gabinetu doktor Doroty G. już siedziałam w pociągu do Niemiec. – mówi pani Daniela. – Moja lekarka wiedziała, że jestem w podróży. Przesłała więc wszystkie wyniki, wraz z oceną mojego stanu zdrowia. I zaleciła nowe dawkowanie leków. Nigdy nie doświadczyłam

takiej formy konsultacji lekarskiej. Od tego czasu nieraz moja konsultacja z lekarzem jest smsowa.

– Pamiętam doktor Helenę Kozłowską – objaśnia pani Wiesława – Praktykę miała w podbiałostockim Dobrzyniewie Dużym – To była naprawdę lekarka – pediatra z dobrym sercem. Przyjmowała pacjentów o każdej porze dnia i nocy. Byłam kiedyś u niej z małym synem. Był wówczas bardzo mały, a przede wszystkim naprawdę bardzo chory. Białoścocy lekarze postawili dość smutną diagnozę. Piotrek czuł się coraz gorzej. Postanowiłam jednak dotrzeć do wspomnianej lekarki. Było już bardzo późno w nocy. Lekarka nas przyjęła, syna zbadała, wyniki badań przejrzała. I stanowczo stwierdziła, że to zakażenie układu moczowego i rozwinięte zapalenie płuc. Tego białoścocy lekarze nie zauważyli. Zaleciła, aby syna umieścić w szpitalu zakaźnym. To dobra placówka i synka szybko postawią na nogi – dodała. Piotrek miał zaledwie sześć miesięcy. Szybko wrócił do zdrowia.

Pan Zenon swoje wspomnienia z medycyną skwitował krótko – Jestem z rocznika AD 1937. Bardzo mi przykro, że nie mogę ani jednego dobrego słowa dopisać do tego rozdziału. Powód jest całkiem prosty. Jeszcze nigdy nie chorowałam. – skwitował z uśmiechem najstarszy wiekiem członek Klubu Seniora Dobry Czas...



Warsztaty dziennikarskie i historyczne



*Nie tylko były kiedyś, ale są także teraz wśród nas. Kobiety zwykłe – niezwykłe. To już trzecia publikacja o nich. Tymczasem wciąż za mało stron, a zbyt wiele kobiecych postaci, aby o wszystkich napisać. Ich nazwiska wskazali ludzie z lokalnych środowisk. W Dobrzyniewie Dużym doradzono nam, abyśmy napisali o paniach Kozłowskich – matce i córce, dwóch bardzo dobrych lekarkach i społeczniczkach. W dalekim Osowcu znaleźliśmy ciekawe materiały związane z nauczycielką i harcerką Walerią Waszkiewicz, zaś w sanktuarium w Studzienicznej spotkaliśmy siostrę Agnieszkę, która z pełnym poświęceniem i pasją opowiedziała nam historię tego miejsca. W Knyszynie wskazano nam dwie nauczycielki – harcerki: matkę i córkę. Wiele serca i pracy włożyły w pracę z miejscową młodzieżą. I zasłużyły na wspomnienie. W naszej publikacji znalazły się dwie biografie kobiet z Supraśla. Tymczasem członkowie miejscowego klubu seniora podali nam całkiem pokaźną listę innych zasłużonych kobiet. Takie też znaleźliśmy w kronikach białostockiej Chorągwi ZHP oraz Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Cieszyć może fakt, że w czasach gwałtownie zmieniających się wartości moralnych i społecznych nasze podlaskie środowiska wskazały nam kobiety, których życiorysy są przykładem polskich, tradycyjnych wzorców... Takich, w których byliśmy wychowywani od pokoleń. Nasza publikacja trafi do gminnych bibliotek i szkół, ale przede wszystkim do rodzin opisanych przez nas kobiet: córek, żon, matek, babć, wzorowych pracownic lub lokalnych społeczniczek. Takie były kiedyś, a także są teraz.*

# Kobiety z Podlasia – służba pod przysięgą

fot. z realizacji projektu

